

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Antoniego Małckiego 3.

Administracja otwarta codziennie od godz. 3—5 po południu. W sprawach redakcyjnych od 4—5.

SZLACHTA I POLITYKA NARODOWA.

Dwa fakty, które podajemy niżej, w luźnym są ze sobą związku i żaden z nich, ani nawet oba razem szczególnej doniosłości nie mają. Zwracamy jednak dziś na nie uwagę, bo są one świeżymi i wyraźnymi a dosyć znamionnymi objawami ważnego przełomu społecznego, który odbywa się we wszystkich trzech zaborach, chociaż w każdym, stosownie do warunków miejscowych, przedstawia się odmiennie i który zwrócić musi, a właściwie zwrócił już nawet naszą politykę narodową na nowe tory, wskazał jej nowe zadania i nowe sposoby i środki działalności praktycznej.

Niejednokrotnie już, mówiąc wogóle o sprawach polskich lub o sprawach miejscowych zaboru rosyjskiego, pruskiego i austriackiego, zaznaczaliśmy i tłumaczyli dokonaną lub dokonywaną się zmianę stanowiska społecznego szlachty, właściwie warstwy ziemiańskiej i wyjaśnialiśmy znaczenie następstw, jakie ta zmiana zarówno w dążeniach klasy, o której mowa, jak i w zadaniach polityki narodowej musi wywołać. Bo pamiętać trzeba, że nasza polityka narodowa, czy zwała się zachowawczą, czy liberalną i demokratyczną, patriotyczną czy ugodową, była dotychczas w znacznej mierze szlachecką. Zresztą nawet skrajne kierunki polityczne, chociaż do tego nie przyznawały się jawnie, uważały szlachtę jako ważny czynnik sprawy narodowej.

Po tych kilku uwagach wstępnych, wejdźmy odrazu *in medias res*.

Niedawno *Warszawskij Dniownik* zamieścił następującą wiadomość:

»Rosyjska własność ziemska w kraju tutejszym zaczyna się powoli zwiększać. W r. z. donosiliśmy o wielkich zakupach dóbr, uczynionych przez pp. Hilensmidta i Cwiata w granicach gub. warszawskiej, teraz możemy uzupełnić tę rubrykę przez zaznaczenie dokonanej w lecie r. b. sprzedaży wielkich dóbr Chełmicka wielka, w powiecie lipnowskim, w gub. płockiej. Dobra te należały do p. Grabińskiego; nabywcą ich jest r. st. I. I. Aleksandrowicz; dobra składają się z 6 folwarków i mają około 10.000 morgów, z których 5.000 morgów lasu; położone są nad brzegiem Wisły i jest w nich tartak. Majątek sprzedano za 600.000 rs., jakkolwiek jest on obciążony służebnościami, ale właścianie rozpoczęli już układy z nowym właścicielem«.

Nie jest to fakt pojedynczy, wyliczyćbyśmy mogli kilka podobnych wypadków. Oprócz t. zw. donataryuszów, t. j. właścicieli majoratów i nabywców dóbr poduchownych, jest już w Królestwie kilkudziesięciu właścicieli ziemskich Rosyan, którzy nabyli majątki z wolnej ręki i zazwyczaj sami w nich gospodarują, podczas gdy

pierwsi najczęściej dobra swoje wydzierzawiają lub oddają w administrację.

Mówiliśmy już dawniej o nowym zwrocie w polityce rusyfikacyjnej, o usiłowaniach wytworzenia w Królestwie miejscowej, osiadłego żywiołu rosyjskiego. W sprawie tej rosyjska większa własność ziemska ma niepoślednie znaczenie. Rząd nie ludzi się zapewne nadzieją, że żywioł rosyjski w Królestwie stanie się tem, czem są Niemcy w Poznańskim, ale chce rozbić i osłabić jednolitość narodową ludności polskiej. Gdyby mu się to powiodło, wpływy rosyjskie i język rosyjski byłby zabezpieczone nawet na wypadek zmiany wewnętrznych warunków politycznych. Na tem właśnie polega niebezpieczeństwo istotne, które lekceważymy, zapewniając siebie samych, że rusyfikacja Polski jest niemożliwą dlatego, że 1) posiadamy wyższą kulturę obyczajową i ekonomiczną, 2) że ziemie nasze są gęściej zaludnione, niż Rosya właściwa.

Należałoby dokładnie ocenić te argumenty, które wcale nie są pewnikami, za jakie je podajemy. Wyższość kultury jest niewątpliwą, lecz tylko w pewnym znaczeniu, mianowicie w znaczeniu tradycji cywilizacyjnej. Ale czy ta wyższość zapewnia zwycięstwo w walce o byt narodowy — to pytanie sporne, na które historia innych ludów daje rozmaite odpowiedzi. Nasz ustroj społeczny i ekonomiczny przedstawia typ wyższy, co jednak nie oznacza wcale, że jest lepiej przystosowany do warunków współzawodnictwa, do zwalczania tych przeszkód i ograniczeń, które rozwojowi jego stawia umyslnie lub nawet bezwiednie działalność rządu i cała organizacja państwowa. Nakoniec wyższość kultury materyjalnej, dziś już dosyć wątpliwa, w bliższej przyszłości może już nie istnieć, bo rząd dokłada wszelkich starań dla podniesienia jej w Rosyi, a u nas nic prawie w tym celu nie czyni, przeciwnie, krępuje z zasady wszelkie samodzielne usiłowania społeczeństwa.

Zapominamy zresztą o tem, że społeczeństwo nasze jest bardzo ubogiem, a chociaż na ogół nie jest może wiele uboższem, niż rosyjskie, są w Rosyi olbrzymie kapitały i spora liczba ludzi bogatych, korzystających w dodatku z hojnej pomocy rządu. Niewiele nam pomogła wyższość kultury społecznej i ekonomicznej w kraju zabranym wobec zarządzeń państwowych i przewagi kapitałów rosyjskich. W gubernii kijowskiej w r. 1865 własność ziemska polska zajmowała obszar 1616.000 dziesięcin¹⁾ czyli z górą 80% większej własności. W r. 1895 mieli Polacy w swych rękach tylko 806.000 dziesięcin, czyli więcej, niż połowę ziemi, utracili, a nabywcami jej na Ukrainie byli nietylko urzę-

¹⁾ Dziesięcina równa się 109,25 arom.

dnicy, ale i — bodaj nawet przeważnie — magnaci i kapitaliści rosyjscy.

Przykład Wielkopolski wskazuje, że ziemia w ręku szlachty wcale nie jest pewną. Ze stukilkudziesięciu tysięcy hektarów, nabytych przez komisję kolonizacyjną i bank hakatystowski, nieznaczna część tylko przeszła w ręce niemieckie w drodze sprzedaży przymusowej. Resztę sprzedać musieli ze względu na smutny stan swych interesów, lub dobrowolnie, dla zysku przefrymarchyli właściciele polscy. Moralnie jest między nimi znaczna różnica, ale pod względem społecznym i politycznym właściwie wszystko jedno, z jakich powodów właściciel ziemię sprzedaje. Mamy fakt niewątpliwy, że szlachta musi pozbywać się ziemi lub chce się jej pozbyć i że pomiędzy nią nie ma na tę ziemię nabywców. To samo widzimy i w zaborze rosyjskim, chociaż w formie nieco odmiennej. I tam szlachta sprzedaje swe posiadłości, które w kraju zabranym kupują Rosyanie, bo oni tylko kupować tam mogą, a w Królestwie kupować już zaczynają. Nie trzeba się łudzić, znajdzie się wielu takich, którzy, jak ów p. Grabiński, zechcą pozbyć się przykrego ciężaru własności ziemskiej, a wtedy znajdą się i nabywcy, bo jak mówi przysłowie rosyjskie: *byłoby koryto — swinji najdutsia*.

Nabywanie ziemi przez Rosyan nabiera właściwego znaczenia w zestawieniu z takimi faktami, jak wrastający wciąż napływ biurokracyi rosyjskiej, utrwalanie się handlu i przemysłu rosyjskiego, sprowadzanie masowe robotników rosyjskich i używanie ich przez przedsiębiorców polskich i t. d.

Jednocześnie prawie z wiadomością, podaną w *Warszawskim Dniwniku*, zjawiła się w *Gazecie rolniczej* korespondencya z powiatu grójeckiego, której autor, p. B. R. (sądząc z tych liter i miejsca zamieszkania znany agronom i »szanowany« obywatel) nietylko usprawiedliwia, ale nawet zaleca używanie do roboty w czasie żniw żołdatów rosyjskich. Nie jest to zresztą wypadek odosobniony, ale fakt dosyć powszechny, tylko dawniej wstydliwie ukrywany, teraz zaś pod wpływem powiewów ugodowych wyzierający na światło dzienne. Brakiem robotnika usprawiedliwiają fakt ten ziemianie, co jednak nie jest prawdą niewątpliwą. Po powstaniu i nawet później nikt żołnierzy do robót nie używał, a przecie od tego czasu ludność rolnicza wzrosła o 40% i podwoiła się ludność bezrolna, która zarobku szuka, gdy tymczasem obszar gruntów uprawnych powiększył się tylko o 5—6% i weszły w życie rozmaite maszyny, oszczędzające pracę ludzką. Nie może być mowy o braku robotnika w kraju, który ma gęstsze zaludnienie niż inne kraje Europy, gdzie jednak żołnierzy do żniw nie używają, w kraju, z którego kilkadziesiąt tysięcy ludzi wędruje na lato za zarobkiem do Niemiec. Zaznaczamy to nie dla polemiki z podobnymi twierdzeniami, ale dla wykazania, że w tym wypadku jak w wielu innych interes osobisty i klasowy przeważa inne względy i że on tylko decyduje o postępowaniu i opinii warstwy szlacheckiej. Pp. Grabińscy sprzedają Moskałom ziemię, pp. B. R. sprowadzają żołdatów na żniwa, ich sąsiedzi lub znajomi umieszczają dzieci swoje na stancyi w domu rosyjskim, inni biorą do swego domu korepetytora Rosyanina i t. d. Są to fakty pojedyncze i różnorodne, ale całość ich i treść wewnętrzna stanowią objaw bardzo znamienny i pouczający.

Nie należy przesadzać doniosłości i rozmiarów niebezpieczeństwa, ani rozszerzać nadmiernie znaczenia tych objawów, które przytoczyliśmy jako znamienne. Zarazem jednak trzeba prawdzie śmiało spojrzeć w oczy,

trzeźwo oceniać fakty i dokładnie zrozumieć te wskazania, które z nich dla naszej polityki narodowej wynikają.

Ani nabywanie ziemi przez Rosyan, ani inne objawy rusyfikacyi, o których wspominaliśmy, sprawie naszej narodowej ciosu stanowczego nie zadadzą, chociaż wiele szkody prawidłowemu jej rozwojowi wyrządzić mogą. Nie tyle są te objawy w rezultacie ostatecznym groźne, ile na razie i w skutkach pośrednich przykre. Stwierdzona tylokrotnie odporność i żywotność narodu naszego nie takie zwalczała zwycięzko przeszkody. Lud polski w zaborze pruskim w gorszych warunkach większe niebezpieczeństwa szczęśliwie przetrwał lub nawet pokonał i we wszystkich dziedzinach życia i pracy rośnie już dziś jego siła społeczna i narodowa. Nie wyższość kultury, nie gęstsze zaludnienie i inne czynniki zewnętrzne, ale świeżość i dzielność duchowa tego ludu, przez swoich i obcych lekceważona, ale jego żywotność niespożyta sprawiły, że na naszych kresach narodowych, któreśmy za stracone niemal uważali, w zapomnianych od wieków dzielnicach, budzi się narodowy ruch polski i powoli, od najniższych podstaw materyalnych zaczyna wielką pracę odrodzenia tego, co zamarło, odzyskiwania tego, co klasy przewodnie utraciły lub strwończyły.

Do niedawna jeszcze nawet przeciwnicy szlachty, nie podzielaający jej uroszczeń do przewodnictwa społecznego, uważali ją wszakże, a i dziś niektórzy jeszcze uważają, jako warstwę, w której skupia się tradycya polityczna i świadomość narodowa. Pamiętamy, z jakim oburzeniem przyjęto przed dziesięciu laty wygłoszone w jednym z pism warszawskich twierdzenie, że tylko interesy i dążenia ludu powinny być wskazaniem polityki narodowej i że powierzenie obrony zagrożonego bytu narodowego innym warstwom społecznym jest zadaniem, przechodzącym ich siły. Od tego czasu dużo doświadczenia nam przybyło, doświadczenia przykrego ale pouczającego, które na ludzi, umiejących patrzeć na fakty społeczne i rozumiejących ich znaczenie, podziałać musiało. Tylko nieznanostwo dziejów własnych i obcych tłómaczy tę naiwność polityczną, która przypuszczała, że szlachta w dzisiejszych warunkach podołać może obowiązkowi i zadaniom, jakie jej polityka narodowa narzuca.

Nigdy i nigdzie szlachta i wogóle warstwy naczelne nie umiały i nie mogły bronić podstaw bytu narodowego — ziemi, wiary, mowy ojczystej. Można by powołać się na przykłady wymowne szlachty czeskiej i ruskiej, ale i w naszych znajdziemy ich dosyć. Szlachta śląska, w której jeszcze przy końcu zeszłego wieku były rodziny polskie, zniemczyła się dziś zupełnie. W Prusiech Wschodnich jeszcze w pierwszej połowie XVIII wieku było około 400 rodzin szlacheckich polskich, których potomkowie są dziś Niemcami i protestantami. W Wielkopolsce i Prusiech Zachodnich szlachta od początku bieżącego stulecia straciła więcej niż połowę posiadanej przez nią ziemi, która przeszła w ręce niemieckie, a wiele rodzin zniemczyło się zupełnie, zachowując tylko nazwiska polskie. Nawet w Galicyi, w warunkach względnie bardzo dla niej pomyślnych, traci szlachta podstawę ekonomiczną swego stanowiska, sprzedając i dzierżawiąc ziemię żydom, o czym już poprzednio pisaliśmy. W zaborze rosyjskim, na Litwie i Rusi, od ostatniego powstania więcej niż 5 milionów morgów ziemi przeszło z rąk szlachty polskiej w ręce nabywców Rosyan w drodze sprzedaży przymusowej lub dobrowolnej. W ostatnim roku wielcy pa-

nowie, ludzie bogaci, Lanckorońscy, Potoccy, Chodkiewiczowie, Lubomirscy pozbyli się ogromnych obszarów. Nikt nie obliczał, ile zruszczyło się i sprawosławiło rodu szlacheckich, ale wśród inteligencji rosyjskiej nazwiska niewątpliwie polskie spotkać można bardzo często. W kraju zabranym, kiedy rząd wywierał nacisk gwałtowny, »ci, których Skarga nazywał ojcami narodu odpadali od kościoła a tymczasem lud zapeśniał więzienia, szedł tysiącami na wygnanie, nadstawiał piersi na kule moskiewskie i dla wiary świętej ginął śmiercią bohaterów« — powiada świadek naoczny i niepodejrzany i wylicza, że przeszli na schizmę ks. Radziwiłł Mikołaj, ks. Drucki-Lubecki, Mirscy, Zenowicz, Wojniłowicz, Bieliński »i mnóstwo pomniejszej szlachty«.

Te i inne fakty powszechnie znane nie podlegają zaprzeczeniu i nie potrzebują komentarzy. Nie wolno z nich wysnuwać pośpiesznych przypuszczeń że ogół szlachty w zaborze rosyjskim, a tymbardziej w Królestwie stracony jest dla sprawy narodowej i że czeka go ten sam los, jaki spotkał śląską i pruską, jako grozi szlachcie wielkopolskiej. Ale trzeba i można z wszelką słuszością stwierdzić, że klasa szlachecka zarówno w zaborze rosyjskim, jak i wogóle w całej Polsce niema dziś hartu moralnego, ani żywego poczucia narodowości, ani powagi społecznej i ekonomicznej, ani wreszcie przewodniej myśli politycznej, któreby jej naczelną stanowisko zapewniały lub nawet tylko pozwalały liczyć na nią, jako na czynnik poważny w bilansie sił naszych. Prawda, że w zaborze rosyjskim i pruskim wobec przewagi żywiołów wrogich, nie wahających się w użyciu przeciw nam wszelkich środków, wobec konieczności prowadzenia walki natężonej o byt narodowy, nie powinniśmy żadnych sił lekceważyć i pomijać, ale jest równie prawdą niezaprzeczoną, że w tych warunkach właśnie nie wolno nam ani łudzić się, ani mylić w rachubie. Trzeba raz stanowczo i jasno powiedzieć sobie, że we wszelkich kombinacjach polityki narodowej, tę pozycję sił naszych i zasobów, którą przedstawia warstwa szlachecka, uważać musimy za nieistniejącą i chociaż nie wykreślamy jej ostatecznie, nie uwzględniamy jej wcale. Szczipłego kapitału narodowego, jaki nam pozostał, nie możemy lokować na niepewnej hipotece szlacheckiej.

Nie oznacza to jednak ryczałtowego odsądzenia całej warstwy od udziału w pracy narodowej. W zaborze rosyjskim nietylko pojedyncze jednostki, lecz nawet, zdaniem naszym, znaczna część t. zw. szlachty przedstawia niepoślednią siłę społeczną i narodową. Ale tę siłę tworzą ludzie, nie zaś grupa społeczna, ludzie, którzy nieraz w masie, w swem otoczeniu zbiorowem tracą w znacznej części swoją wartość indywidualną.

Obrońcy szlachty na usprawiedliwienie czynionych jej zarzutów — a u nas często zarzutem nazywa się proste zaznaczenie faktów lub wyprowadzenie z nich wniosków — przytaczają okoliczności, zmniejszające jej winę. Nie przeczymy istnieniu tych okoliczności, ale nie obchodzą nas one wcale, bo to nie jest rozprawa sądowa, tylko rozprawa polityczna. Nie chodzi tu o wydawanie wyroku, o wymiar sprawiedliwości historycznej, o sąd moralny, ale o polityczne i społeczne znaczenie pewnych faktów i zjawisk naszego życia narodowego. Potępienia i rekryminacje są w danym wypadku niepotrzebne i jeżeli się zjawiają — to dlatego, że są zwykle wywołane usiłowaniami przeniesienia sprawy na forum niewłaściwe.

Nietylko zmiany w rozkładzie sił społecznych, ale i inne czynniki, których tu szczegółowo rozpatrywać

nie możemy, wpłynęły na zmianę przekształcenia zadań naszej polityki narodowej. Przekształcenie to dokonywało się stopniowo, w całym szeregu lat, dziś już jednak dokładnie można główne zarysy jego określić. Nasza polityka narodowa, pomimo rewolucyjnych jej znamion, właściwie miała na celu restaurację stosunków dawniej istniejących, dążyła do przywrócenia państwa polskiego, jako koniecznej podstawy dalszego rozwoju form i dążeń naszego życia. Dziś znamienym jej rysem jest wszechstronna praca, mająca jako cel najbliższy odrodzenie narodu, i dopiero jako następstwo konieczne tego odrodzenia, jako cel dalszy — wytworzenie samodzielnej organizacji państwowej. We wszystkich tych naszych stronnictwach politycznych, które nazwać można narodowemi, rys wyżej zaznaczony występuje słabiej lub silniej, czasem jako świadoma zasada programu, często jako dążenie bezwiedne. Z konieczności przenieść musiała polityka swój punkt ciężkości do tych warstw, które stanowią szeroką podstawę narodu. Wobec zmienionych warunków mniejsze i zgoła inne ma znaczenie czynnik, uzasadniający poniekąd roszczenie warstwy szlacheckiej — tradycja życia politycznego, czyli jak się wyraża jeden z ugodowców warszawskich — »tradycja służby publicznej«. Dla tego dorobku politycznego, który zaczynać trzeba od podstaw najprostszych, od robót najgrubszych, ma ona ważny ale ograniczony zakres oddziaływania, jako czynnik pedagogiczny. Natomiast w bieżących sprawach politycznych, w bezpośredniej działalności praktycznej służba publiczna jest niemal równoznaczna z pojęciem służby państwowej. Jakoż widzimy, że przedstawiciele polityki ugodowej i zarazem interesów warstwy szlacheckiej coraz głośniejszemu wołają, że czas już »z Chrystusowej zejść kalwaryi do moskiewskiej kancelaryi«, czyli, jak dyplomatycznie mówią, »wejść do środka państwa«. Taka tradycja, należałoby raczej powiedzieć — nałóg życia politycznego i służby publicznej w pewnych warunkach przyspiesza i ułatwia wynarodowienie.

Na gruncie, który przygotował upadek społeczny i polityczny warstwy szlacheckiej, przedstawiciele »tradycji służby publicznej« stawiają karcianą budowę mrzonek ugodowych. We własnym społeczeństwie nie mogą już odegrać żadnej wybitnej roli, ale mogą jeszcze być pośrednikami przy zalecanej transakcji między rządem rosyjskim a narodem polskim. Tak zwykle kończą karierę życiową zbankrutowani szlachcice, tak zamierza ją widocznie zakończyć upadająca szlachta polska.

LUD WIEJSKI W KRÓLESTWIE KONGRESOWEM WOBEC RZĄDU I JEGO USIŁOWAŃ.

IV.

Szkoła ludowa. Czem stała się od r. 1873? Naczelniczy dyrekcji naukowych. Nauczyciele ludowi. Seminarja nauczycielskie. Nauczycielki. Biblioteczki szkolne. Dążenia do oświaty wśród ludu. Rozpowszechnienie nauki czytania. Potajemne nauczanie. Literatura nielegalna. Korzyści z zakazu drukowania książek historycznych. Zakończenie.

Najczarniejszą stronę stosunków politycznych w Królestwie stanowi szkoła wogóle, a w szczególności *szkoła ludowa*. Ukaz z 64 r., pełen we wszystkim obłudnych frazesów, między innymi organizując również szkołę ludową, oparł ją pozornie na zasadzie narodowościowej, usuwając z niej wszelką politykę. Wykłady

miały się odbywać w języku większości mieszkańców wsi, a zatem wszędzie prawie po polsku; język rosyjski, historia i geografia Rosji były przedmiotami obowiązkowymi; program nauk, wprawdzie nadzwyczaj szczupły wobec trzyletniego kursu, oczyszczony naturalnie od wszystkiego, co by miało związek z historią lub geografią kraju własnego, pozwalał jednak jako tako nauczać dzieci przynajmniej czytania, pisania, rachunków, obok nauki języka rosyjskiego, który ze względów praktycznych mógł się ludowi niekiedy przydać.

Stan ten atoli trwał krótko. Już w r. 1873 zaprowadzono w szkołach ludowych, jako język wykładowy — rosyjski, oprócz religii, którą wolno wykładać po polsku. Język polski pozostawiono jako przedmiot, i to z warunkiem, że *nauka polskiego ma rozpocząć się dopiero na kursie drugim*, to znaczy, że uczeń, wstępujący do szkoły, musi zaczynać naukę czytania od rosyjskiego. Prawnie wykład religii mieli prowadzić księża, Apuchtin wszakże postarał się o niedopuszczenie księdza do szkoły i dziś naukę religii prowadzi człowiek świecki — nauczyciel.

Dla nadzoru nad nauczycielami ustanowiono *ty. dyrekcye naukowe*, których naczelnicy obowiązani są objeżdżać szkoły, kontrolować nauczycieli i postępy uczniów, wyznaczać kary dla opieszłych, nagrody dla gorliwych. Dyrektorem takim oczywiście może być tylko rosyjanin. Taki dyrektor jest bezwzględny panem losu nauczyciela ludowego, któremu może bez apelacji dać natychmiastową dymisyę. Nie ku rozweseleniu czytelników przytoczę charakterystyczny fakt, że pewien nauczyciel pod Urzędowem, zaskoczony przez nagły przyjazd dyrektora, dostał gwałtownego rozwolnienia. Można sobie wystawić, jak taki »profesor« swobodnie oddycha, gdy powóz p. dyrektora zniknie na zakręcie, a jemu w księdze wizyt nie zostawi złej noty!

Szkoła ludowa jest nadto pod stałym dozorem policyjnym, a żandarmi i strażnicy mają do niej wstęp wolny o każdej porze. Pomimo że posada nauczyciela wiejskiego jest tak niepewną, przykrą i lichą płatną — od 100 do 250 rubli, z dodaniem mieszkania, opału i niekiedy kawałka ogrodu — kandydatów nigdy nie brak, gdyż bądź co bądź jestto kawałek chleba, a potwóre stanowisko nauczyciela ludowego uwalnia od wojska. To też szkoły nauczycielskie czyli seminaria zawsze są pełne.

Do niedawna dopuszczano na posady nauczycieli ludowych skończone gimnazjalistki, dziś dyrekcye obsadzają szkoły przeważnie »swoimi ludźmi« t. j. wychowankami seminariów. Jaki zaś duch panuje w seminariach, łatwo domyśleć się choćby z tego, że nauczycielami w nich są wyłącznie Rosyjanie i to wypróbowani »działacze«, przejęci do fanatyzmu swą misją rosyjską, za którą zresztą spodziewać się mogą zawsze »*powyszczeniya*«. Działalność ich jest tym szkodliwszą, że seminaria są zakładami zamkniętymi. To też przynoszą nam one niewątpliwie wiele szkody, wypuszczając często młodzież oglupioną, przerażoną niemal potęgą Rosji, o której przez 6 lat jej opowiadano, przenikniętą duchem urzędniczej karyery, a co gorsza — zdemoralizowaną tak, że za pieniądze gotowa na wszelkie łotróstwa. Dodajmy, że młodzież tę stanowią najczęściej synowie włóścian, którym trudno przeciwdziałać w domu rządowej tresurze swoich synków.

Jednakowoż i tutaj w czasach ostatnich następuje zwrot ku lepszemu; wśród samych seminarzystów zjawia się młodzież z poczuciem obowiązków obywatelskich, umiejająca opierać się demoralizującemu wpływowi

swych przewodników. Nie tu miejsce na szersze traktowanie tej ważnej sprawy, zwracamy wszakże uwagę społeczeństwa na seminaria nauczycielskie: z nich bowiem Apuchtiny zrobili gniazda zepsucia politycznego, co dobra wola i praca nasza powinna umieć paraliżować.

Rozumie się, że nietylko poczucie obywatelskie, ale i poziom wykształcenia nauczyciela szkoły ludowej jest zazwyczaj bardzo niski: tylko historię Rosji każdy z nich zna dobrze. Po polsku żaden prawie pisać bez błędów nie umie. Dodajmy do tego, że w okolicach rosyjskich i mieszanych nauczycielami mogą być wyłącznie Rosyjanie, a do wielu polskich wsi przysyłają seminarzystów litwinów, zazwyczaj nie umiejących wcale po polsku.

Smutną, a jednak w wielu razach usprawiedliwioną opinię wyrobiły sobie u nas nauczycielki ludowe; tam szczególnie, gdzie w sąsiedztwie stoi wojsko, gdzie znajduje się forteca — taka panna ze szkoły bywa często bliską przyjaciółką pp. oficerów, których jawnie przyjmuje w dzień, a potajemnie — w nocy. To są typy nikczemne, ale wskutek złej opinii nie tyle jeszcze szkodliwe. Gorszemi są te biedne, zahukane istoty, dla których posada nauczycielki stanowi jedyną deskę zbawienia, jedyny środek utrzymania starej matki, siostry, rodzeństwa... Taka nauczycielka jest najpowolniejszym narzędziem w ręku rządu, spełniającem z zaparciem się i bezwzględną sumiennnością najnikczemniejsze »sekretne« i ustne rozporządzenia dyrektora.

Na tem tle, przeważnie czarnem, jasnieją jednak tu i owdzie pełne poświęcenia postacie, które pomimo wszystkich trudności, pomimo grożącego im niebezpieczeństwa nie wahają się poświęcać ciężkiej pracy w szkole ludowej — i spełniając pozornie urzędowy obowiązek, umieją nietylko nie dopuszczać zepsucia, lecz sięgają do koła najpiękniejszego ziarna miłości kraju!

Śmieszem byłoby pytać, czy szkoła ludowa w Królestwie, zwana w niektórych dyrekcyach »*russskoje naczalnoje ucziliszczę*«, spełnia swoje zadanie cywilizacyjne. Za wyłączeniem rzadkich stosunkowo wypadków, gdzie nauczyciel jest człowiekiem sumiennym i uczciwym, starającym się o własny rozwój i prawdziwe wykształcenie dzieci — poza tem jestto tylko szkoła lichej ruszczyzny, politycznego bałamuctwa i fałszu.

Do pomocy nauczycielowi w demoralizowaniu ludu przy każdej szkole założono biblioteczki z książek, przeznaczonych dla nauczycieli i chłopów; pod koniec roku szkolnego dyrekcya przysyła książeczki rosyjskie na nagrody dla uczniów, każe prenumerować nauczycielowi gazety rosyjskie (*Swiet*, *Niwe*, wychodząca w Warszawie *Biesiedę* i t. p.).

Oczywiście, w bibliotece szkolnej są przeważnie książki historyczne rosyjskie: historia »Domu Romanowów« z bardzo pięknymi portretami, nieco dziełek pedagogicznych rosyjskich, z polskich zaś: »Głos z ludu o kwestyi polskiej«, »Gawędy starego Macieja«, »Pobyt Najj. Państwa w Skierniewicach«, opisy koronacyi i t. p. dziełka gadzinowe, plwające na Polskę, na jej przeszłość, zwalczające i zohydzające wszelkie narodowe tendencje, prawdziwe katechizmy moskalofilstwa i carosławia. Dziwna rzecz, iż dzisiejsi projektodawcy bibliotek rządowych przy szkołach ludowych nie wiedzą o tem, że biblioteki w ich duchu istnieją wszędzie już od lat trzydziestu i od lat trzydziestu najmniejszego nie wierają wpływu. Lud nasz książek rosyjskich nie czyta i dobrze ich nie rozumie, a na polskich, redagowanych w duchu *Warszawskiego Dniennika* i Apuchtina poznaje się odrazu. Ileż to ja sam widziałem w Siedlec-

kiem i Lubelskiem »Gawęd starego Macieja« spalonych przez naszych włościan! Tysiące tego idzie rokrocznie darmo pomiędzy lud, rozsyłane za pośrednictwem szkół i kancelaryj gminnych, a trudno znaleźć chatę, gdzieby z podobną książką można było się spotkać.

Lud nasz rozumie dobrze, czem jest obecna szkoła ludowa i bardzo niechętnie dzieci do niej posyła. Rzadko kiedy się zdarza, aby do szkoły uczęszczało więcej nad kilkanaścioro dzieci; dziewcząt prawie nie bywa w szkołach, gdyż, jak mówią rodzice: »chłopakowi to się jeszcze ruski przyda, czy w wojsku, czy papier z gminy odczytać, ale dziewczynie na co to?«

Z całą sumiennością można powiedzieć, że większą część naszych szkółek ludowych, a jest ich wogóle bardzo mało, bo 2200 na 9½ milionów mieszkańców, są dla ludności zbyt ciężkim ciężarem i to ciężarem wysoce szkodliwym dla sprawy narodowej. Lud pojmując to instynktownie, broniąc się od zakładania nowych szkół, nie posyłając dzieci do istniejących, pomimo płatności składek, wreszcie zastępując lichą szkołę rządową samokształceniem się tak szybkim, tak energicznym, jakie mało gdzie napotkać można.

Potrzeba światła wśród ludu nie łatwo sama się budzi. Zaniedbywany przez całą prawie epokę przedpowstaniową, lud tam tylko garnął się do nauki, gdzie stosunki ekonomiczne na to pozwalały, lub gdzie starano się o to z góry. Dopiero samodzielność ekonomiczna, wymagająca od jednostki więcej inicjatywy, a zatem i większego zasobu wiadomości umysłowych i uzdolnień praktycznych, mogła stać się pobudką do uczenia się. Z drugiej strony niewątpliwy demokratyzm inteligencji naszej w 7-ym lat dziesiątku, szczytne hasła powstania z 63 go roku, wreszcie niepowodzenie tegoż wskutek małego udziału ludu, wszystko to razem wzięte przygotowało obustronny grunt do szerokiej, uczciwej pracy nad oświatą ludu. Cokolwiek powiedzielibyśmy o »pracy organicznej«, przynależą do niej, że wśród »organizmików« byli i są ludzie, którzy dobrze zasłużyli się sprawie ludowej. Prawda, że zacieśnwszy się do legalnych ramek, sami ograniczyli swoją pożyteczną działalność, ale w każdym razie stworzyli z niczego prawie literaturę ludową, zainteresowali chłopów i mieszczanina książką polską, nauką, elementarzem, idąc w tem równoległe z budzącą się coraz żywiej wśród ludu potrzebą oświaty.

Pierwszym objawem tej potrzeby jest szeroko rozpowszechniona nauka czytania. Wykazy urzędowe mieszczą Królestwo w ostatnim rządzie pod względem znajomości czytania i pisma, pamiętam jednak, że jeszcze przed 15 laty, gdy pod czytaniem rozumiało się nie tylko czytanie po rosyjsku, Królestwo stało bezpośrednio po Finlandyi i guberniach nadbałtyckich. Oczywiście procent czytających musi być obecnie znacznie wyższym i bezwątpienia teraz bliżej stoimy Finlandyi, aniżeli wówczas. Zapewne, mimo to, chwalić się jeszcze niema czem, ale w każdym razie mało się znajdzie u nas wsi, gdzieby 30 do 40% mieszkańców nie umiało czytać po polsku. Pod tym względem tylko bardzo biedne okolice, jak np. Płockie, Mazowsze, część Radomskiego stoją znacznie gorzej.

Kto te setki tysięcy dzieci i młodzieży uczy co rok czytać w ojczystym języku, jestto tajemnicą chat chłopskich, tajemnicą tych gospodarzy, wyrostków, bab i dziadów, którzy tysiącami krzątają się co zimą, nie domyślając się, jak szczytną, jak doniosłą prowadzą pracę. A dzieje się to pod czujnym okiem rządu, który uczyć nikomu nie pozwala, który karze surowo za

udzielanie światła, jak za polityczny występki. Taki tajny nauczyciel, który z chaty do chaty się przenosi, musi kryć się ze swą pracą, jak ze zbrodnią. Ale też zazwyczaj cała wieś, rozumiejąc swój interes, solidarnie związana jest tajemnicą. Niełatwo strażnikowi taką szkołę tajemną wykryć, a jeszcze trudniej zejść na gorącym uczynku. Ledwie strażnik lub żandarm pokaże się we wsi, już biegną wysłańcy od chaty do chaty, dając znać o niebezpieczeństwie: dziatwa rozbiega się w jednej chwili, uczący bierze się do roboty gospodarskiej, i straż przybywa za późno. Z różnych stron znam wiele takich wypadków, przytoczę jeden z pod *Nowo-Mińska*. We wsi, gdzie nawet znajduje się szkoła, lecz nauczycielką jest istota zepsuta, odbywała się tajemna nauka. Nauczycielka, zazdrosna o stojącą pustkami szkołę, napisała „*donos*“ — zesłała straż, lecz nie wykryła. W jakiś czas potem, taż sama dama, nb. Polka, zwabiwszy paru chłopców łakociami do siebie, skłoniła ich do powiedzenia, którzy gospodarze dzieci swoje na tajną naukę posyłają. Na drugi, tym razem bardziej określony *donos*, zjechała uroczyste komisya z powiatu, żandarmi — zaczęło się śledztwo, protokoły. Wynik był taki, że gospodarze stanowczo zaprzeczyli, dowodów żadnych nie znaleziono i sprawę trzeba było umorzyć.

Za umiejętnością czytania idzie zaciekawienie do książek. W pokoleniu młodszym jest ono niewątpliwem. Pomimo biedy, która nie pozwala na kupno książek, nie należy do rzadkości spotkać u włościanina niezłą biblioteczkę, a gazety ludowe mają podobno sporą liczbę czytelników. Różnym jest poziom umysłowy, różne potrzeby i gusty czytelników, ale rzadkością są dziś tacy, którzy z zasady czytać i oświecać się nie chcą.

Największą poczytnością cieszą się książki religijne, żywoty świętych, pieśni nabożne — zwłaszcza zagraniczne wydania, które pomimo wszelkich przesładowań szeroko są rozpowszechnione.

Drugą grupę stanowią książki z historii polskiej: »o królach polskich«, »o dawnych czasach«, powieści historyczne, i t. p. Wogóle lud instynktowo domaga się tego, co stanowić powinno normalną strawę jego ducha, tj. książek, zadawalniających jego bezwiedne poczucie własnej narodowości i takich książek jaknajwięcej powinien mieć sobie dostarczanych. Nie jest to tajemnicą nawet dla żandarmów, że lud lubi takie książki »polskie« i że »książeczki« te coraz częściej zaczynają pośród niego krążyć. Nieraz chłopiec taki, że zda się trzech zliczyć nie umie, wyciąga z za obrazu »taką tu książeczkę«, a jest nią życiorys Kościuszki, opowiadanie o Krozach lub coś podobnego. Na pytanie, skąd ma takie książki, nawet zaufanemu nie powie więcej nad to, że dostał »od jednego takiego z drugiej wsi«. Potrzeba uczy sprytu politycznego. Pewien gospodarz otrzymał od kogoś z miasta odezwę nielegalną. Przeczytał sam, lecz chodziło mu o to, aby inni czytali, a bał się sam ją pokazywać. Poszedł więc ukradkiem na przegon, którym było do wsi wracało i odezwę podrzucił. Rozumie się, dzieciaki ją znalazły, przyniosły do wsi, a wtedy krążyła bezpiecznie, jako znaleziona przez pastuszków.

Rząd rosyjski rozumie, jaką bronią przeciwko niemu jest literatura nielegalna, i dlatego przesładowuje ją bardzo surowo; jednocześnie wszakże przynosił przesładowanie na literaturę wogóle historyczną dla ludu. Jeszcze lat temu kilka wychodziły w Warszawie jakie takie opowiadania historyczne dla ludu, dziś nawet najniewinniejsze z nich zostały zakazane. Cenzura

warszawska ma rozkaz niepuszczania dla ludu nietylko dziełek historycznych, ale żadnych wzmianek z historii Polski i zakaz ten stosuje z bezwzględną surowością.

Gdyby lud nasz mógł żyć literaturą wyłącznie legalną, musiałby z czasem zapomnieć o tem, że ma własną odrębną ojczyznę, że ojczyzna ta miała swoje tysiącletnie, pełne sławy dzieje, dające jej prawo do swobodnego życia. Żartowano sobie niegdyś, że bywają chwile, gdy cenzura pozwala pisać tylko „o wonżach i motylkach“: — dla literatury ludowej, sądząc z wydawanych obecnie książek, chwila ta jest stałym prawem. Na szczęście lud »wonżami« zadowolnić się nie chce; nie znajdując w literaturze miejscowej żadnego pokarmu dla swego bezwiednie nurtującego ducha narodowego, uczy się szukać go gdzieindziej — poszukuje książek zagranicznych, jak dziś, przeważnie sam je dostaje i kolportuje. Kto wie, czy zupełny zakaz drukowania książek historycznych ludowych nie przynosi nam więcej korzyści, niż straty; przychodząc z zagranicy, pisane bez cenzuralnego wędzidła, książki te są wprawdzie rzadsze, lecz za to działają stokroć silniej, skuteczniej, a samym urokiem niebezpieczeństwa i tajemniczości przyuczają lud do konspiracji i wciągają go do tej bezkrwawej, lecz czynnej walki, jaką toczy z rządem całe inteligentne społeczeństwo

Rzecz dziwna, iż najenergiczniejsi i niezupełnie zresztą głupi działacze rządowi rosyjscy nie widzą tego, iż nie inteligencya pociąga dziś lud do walki, lecz przeciwnie — naturalne dążenia duchowe ludu, tamowane uciskiem rządowym, wywołują pomoc i współdziałanie lepszych jednostek z inteligencyi. Rząd rosyjski, względnie żandarmi pochopni są do wyprowadzania wniosków z byle sprawy politycznej, z łada szpiclowskiego *donosu* lub kłamliwych zeznań, zapominając, że tą drogą można sięgnąć co najwyżej do fermentującego mózgu dziewiętnastoletniego studenta, lecz nigdy do dna duszy, prawda, że chytrego, lecz za to prawdziwie rozsądnego — chłopca

Streścimy się wreszcie.

Ostatnie lat trzydzieści kilka wytworzyły u nas w Królestwie tak straszne, tak ciężkie warunki politycznego bytu dla całego społeczeństwa, że trzeba tylko jego niespożyte siły, żeby wytrwać a nawet rozwijać się pod ich brzemieniem. Warunki te, dawniej dotyczące głównie inteligentnej części społeczeństwa, powoli ogarnęły całą masę ludu, przez sam fakt usamowolnienia wciągniętego w ogólny bieg życia społeczeństwa. Niedosć że ogarnęły — z tą samą drapieżnością, z jaką dawniej szarpały głównie społeczność szlachecko-mieszczańską, obecnie zadrasnęły już najżywotniejsze interesy i najgłębsze uczucia ludu. Spotkały się dwie siły, niszcząca działalność rządu rosyjskiego i żywiołowe poczucie narodowe ludu polskiego. Pozbawione nawet wszelkiej tradycyi, nie uświadomione, nie rozjaśnione żadnym ideałem politycznym, samo przez się jest to poczucie taką potęgą, że wobec niej wszelkie zakusy rządowe, wszelkie rojenia o przyciągnięciu ludu naszego ku wielkiej ojczyźnie rosyjskiej pozostaną na zawsze tylko wytworem upojonego szowinizmem wielkoruskiego mózgu.

Ostatnie lat trzydzieści nietylko nie posunęły u nas sprawy rosyjskiej naprzód, ale cofnęły ją nieskończenie wtył — a im dalej, tymbardziej się ona cofać będzie, zarówno przy lepszych, jak i przy najgorszych warunkach politycznych.

Lud, który dziś nietylko żywiołowo odczuwa, ale sam zaczyna dokładnie rozumieć ucisk i dążenia najezdniczego rządu, lud ten, wspierany politycznym doświadczeniem i niez mordowaną pracą inteligencyi, jest na takiej drodze, która prędzej czy później musi nam przynieść zwycięstwo.

S. K.

Z CAŁEJ POLSKI.

Napreżenie stosunków narodowych w zaborze pruskim. Zajście w Opalenicy. Odezwa znaleziona w Starym Bukowcu. Proces w Kołomyi i odezwa socyalistów ruskich. Zdobycze Rusinów. List obywatela z Królestwa.

Wzrastająca w masie ludu polskiego w zaborze pruskim świadomość narodowa, a wraz z nią poczucie siły swojej i słusznych praw swoich i z drugiej zaś strony agitacya hakatystów, nie przebiegająca w środkach i umyślnie drażniąca uczucia, musiały wpłynąć na zaostrzenie stosunków między Polakami i Niemcami. Dawniej, w okresie »Kulturkampfu« walka miała charakter religijny, więc wszyscy Niemcy katolicy i w ogóle ludzie, których postępowanie rządu oburzało, jeżeli nie współdziałali z Polakami, to w pewnej mierze okazywali im współczucie lub przynajmniej byli obojętni. Wprawdzie później, w ostatnich latach rządów Bismarka polityka prześladowania Polaków straciła pobudki religijne, ale najprzód wspomnienia »Kulturkampfu« były jeszcze świeże, powtóre, była to walka żywiołu polskiego z systemem rządowym, prowadzona na gruncie prawnopolitycznym, bardzo dla nas ciężka i w skutkach przykra, ale z powodu swego charakteru formalnego nie różniącą namiętności. Ustanowienie komisji kolonizacyjnej, a bardziej jeszcze wydalenie przymusowe kilkudziesięciu tysięcy ludzi oburzały wszystkich, ale nie wywoływały czynnego protestu. Nie było w tych zarządzeniach pobudki bezpośredniej, popychającej do czynów gwałtownych, nie było podrażnień osobistych, a raczej doznawali ich ci tylko, których bezpośrednio ukazy bismarkowskie dotyczyły. Wtenczas już jednak zarysowały się ostro przeciwieństwa narodowościowe, które teraz coraz silniej i bezwzględniej występują. Dziś nietylko rząd, ale i społeczeństwo niemieckie, bardziej nawet może niż rząd, wrogo jest względem Polaków usposobione i otwarcie prowadzi propagandę nienawiści plemiennej. Działalność hakatystów nie jest objawem odosobnionym, nie jest jak przedstawiają niektóre pisma nasze, wybrykiem garści szowinistów. Ogromna większość Niemców w prowincjach wschodnich Prus podziela dążenia »towarzystwa popierania niemieczyny«, chociaż z różnych względów do niego nie należy. Mają zresztą hakatyści gorliwych przyjaciół w całych Niemczech: w Hannoverze, Westfalii, nawet w katolickiej Bawarii. Niemcy-katolicy w Wielkopolsce, w Prusiech zachodnich, na Śląsku występują również przeciw dążeniom narodowym ludności polskiej. Rządowy system germanizacyi, po chwilowem zwolnieniu działa znowu z dawną zawziętością, a patryoci niemieccy dopomagają mu usilnie, a nawet nieraz wyprzedzają go w gorliwości i bezwzględności. Zamiast systematycznej walki obronnej, walki prawidłowej z działaniem prześladowczem rządu, którą prowadziło dawniej, społeczeństwo nasze w zaborze pruskim musi teraz toczyć walkę podjazdową z partyzantami patryotyzmu niemieckiego. Najspokojniejsi ludzie nie są zabezpieczeni od napaści, które osobiście odpierać muszą. Hakatyści atakują wszystkie pozycye naszego życia: kościół,

szkołę, towarzystwa polskie, zajęcia zawodowe i t. d. Środki, którymi walczą, muszą podniecać namiętności, bo ranią dotkliwie uczucia i interesy osobiste. Walka pomiędzy Polakami a Niemcami staje się żywiołową, rozbrat jest dziś już zupełnym, rwą się po kolei wszystkie nici, które jeszcze w pewnych wypadkach i sprawach dwie narodowości łączyły.

Ma się rozumieć, koniecznym wynikiem takiego naprężenia stosunków muszą być czyny gwałtowne, nieprzewidziane wybuchy wciąż wzbierających i do czasu tłumionych namiętności. Takim wybuchem, niezbyt zresztą groźnym, ale znamionym, jako objaw usposobienia ludu, było zajście w Opalenicy.

Na powitanie arcybiskupa Stablewskiego zebrał się tłum ludu przed dworcem kolejowym i na peronie, na zasadzie pozwolenia, udzielonego przez naczelnika stacyi. Miejscowy komisarz obwodowy, v. Carnap, należący do stowarzyszenia hakatystów, po radzie z przyjaciółmi politycznymi i wypiciu odpowiedniej ilości trunków »dla kurażu«, pojechał na dworzec i umyślnie skierował konia w zbitą masę ludzi, krzycząc: *verfluchte polnische Schweinebande, was habt ihr hier*. Tłum oburzony zatrzymał konie, w jednej chwili ściągnięto zuchwałego Niemca z wózka i zbito go pochodniami. Wyrwawszy się z rąk ludzi, którzy go bili, Carnap uciekł do domu, ale po chwili wrócił znowu z dobytą szpadą i spotkawszy żandarma kazał mu strzelać do ludu na swoją odpowiedzialność, następnie zaś wpadł na dworzec i chciał koniecznie odszukać arcybiskupa ale urzędnicy Niemcy nie chcieli go wpuścić na peron.

Większość pism niemieckich przedstawiła skarcenie awanturnika, jako bunt ludności polskiej przeciw władzy. Prasa polska z początku nic o biciu pochodniami nie mówiła, następnie zaś zamieściła opis zajścia szczegółowo, zwalając całą winę na komisarza. Jeden tylko *Oređownik* wyraził odmiennie nieco zdanie o zajściu, które nazwał »pożalowania godną awanturą«. Zdaniem jego, »wszyscy myślący Polacy z przykrością mówią o tem zajściu i drżą o najbliższą przyszłość społeczeństwa, bo trudno się oprzeć wrażeniu, że nie na jednym, ale na wielu punktach chyli się u nas wszystko ku upadkowi i to gwałtownemu. Bierze nam żywioł niemiecki ziemię, podbiera się pod zarobek nasz; jest jednak ludzki sposób, żeby jeszcze to znieść i przetrzymać. Atoli jakby się Niemcom udało doczekać wiara, że zostałyby w nas zmarnowane zmysł polityczny, wiara we własne siły, wtedy czem się nasze skołatane społeczeństwo będzie ratowało!«

Niewątpliwie w danym wypadku, jak zresztą w każdym innym »należy zachować spokój umysłu, rozagę i roztropność polityczną«. Ale gdyby *Oređownik* posłuchał własnej rady, nie drżałby o przyszłość społeczeństwa i nie mówiłby o utracie zmysłu politycznego i wiary we własne siły. Jest to tem dziwniejsze, że właśnie *Oređownik* trafnie zaznaczył, że walka dwóch narodowości przybierać zaczyna »charakter szczepowy«. Tak jest istotnie i kto to widzi i rozumie, ten nie powinien dziwić się takim faktem, jak zajście w Opalenicy, bo są one koniecznymi objawami walki szczepowej, w której namiętności w chwilach krytycznych biorą górę nad »rozwągą« i »spokojem umysłu«. A roztropność polityczna nakazuje liczyć się z tą koniecznością i starać się o jej wyzyskanie odpowiednie, bo o przeciwdziałaniu temu, co jest nieuniknionem, trzeźwy polityk myśleć nie może.

Jednocześnie z zajściem w Opalenicy, grudziądzki *Gesellige* zamieścił nadesłaną mu przez przewodniczącego

gdańskiej grupy hakatystów odezwę, znaną na drzewie w Starym Bukowcu, gdzie komisya kolonizacyjna osadziła niedawno Niemców. Poprzednio już splonęły w tej osadzie dwie zagrody niemieckie »z przyczyny niewiadomej«, a w dwa dni po znalezieniu kartki spaliła się nieubezpieczona cegielnia, należąca do kolonisty Niemca. Odezwa, napisana po niemiecku, charakterem pisma dziecięcym i literami łacińskimi, brzmi w przekładzie:

»Wojna Niemcowi!

»Ziomkowie naszej religii!

»Ciągłe nas uciskają i prześladują, czujemy to ze wszech stron, musimy więc trzymać się razem i stawić im czoło, wtedy oni odejdą precz; do miecza jesteśmy za słabi, innej musimy chwycić się broni, to znaczy zagrody ich w popiół zamieniać i to dopóty, dopóki żadnego Niemca nie będą chcieli zabezpieczyć; wtenczas my odniesiemy zwycięstwo, oni zubożeli wyniosą się, a my zwyciężymy; naśladowcie moją radę i odwagę wszyscy bracia!«

Gazeta grudziądzka, a za nią inne pisma polskie twierdzą, że odezwa jest fabrykatem niemieckim i usiłują dowieść tego za pomocą rozmaitych argumentów, których przytaczanie szczegółowe zajęłoby zbyt dużo miejsca. Przedewszystkiem trudno zrozumieć, dlaczego Polak, pisząc do swoich nazywa ich *Landsleute unscre Religion* i używa języka niemieckiego. Chyba chciał wystraszyć Niemców i umyślnie dla nich odezwę ułożyć. Niewątpliwem wydaje mi się jedno tylko, że odezwa, jeśli Polak ją nawet napisał, jest dziełem osoby pojedynczej, jest pomysłem indywidualnym. Stosunki narodowe w Prusiech Zachodnich tak są naprężone, ludność polska w najdroższych swych uczuciach, w najżywniejszych swych interesach tylokrotnie była obrażaną i krzywdzoną, że myśl zemsty mogła się zrodzić w głowie człowieka zapalonego i osobiście ciężko dotkniętego prześladowaniem. Nie znaczy to wcale, że uważamy odezwę za sprawę Polaka. Jeżeli — jak przypuszczają pisma nasze — wymyślili ją Niemcy, to i wtedy fakt ten rzuca światło na charakter walki, jaka się dziś toczy lub wkrótce wybuchnie. Istotnie musimy mieć w tej walce dużo spokoju i rozwagi, ale powinniśmy powiedzieć sobie, że jest ona nieuniknioną, jeżeli stosunki się nie zmieniają, a nie zmiany tej dziś nie zapowiada. Lud polski na ogół z charakteru swego i usposobienia nie jest do czynów tego rodzaju skłonny i rozumie niebezpieczeństwo, na jakieby się narażał, ale zawsze i wszędzie znaleźć się mogą jednostki gorętsze, których cierpliwość wyczerpuje się prędzej, niż cierpliwość masy, którzy nie umieją zność pokornie krzywd i obelg, których prześladowanie wytrąciło z równowagi życiowej. Zresztą sami Niemcy umyślnie namiętności dziś rozniecają i jeżeli oni są autorami odezwy, to wskazują zropaczonym sposobem dokonywania zemsty, który niejednego skusić może.

Zgadniają się niemal wszyscy, że byłoby to straszną klęską dla sprawy naszej, gdyby lud polski wszedł na tę drogę niebezpieczną. Ale jeżeli warunki i okoliczności od nas niezależne popychają masy lub tylko jednostki na tę drogę, jeżeli podrażnione uczucia nie słuchają już, nie chcą i nie mogą słuchać nakazów rozsądku, to względ na niebezpieczeństwo ogólne, dla umysłów prostych niezbyt zrozumiałe, nikogo nie powstrzyma. Społeczeństwo polskie w zaborze pruskim nie znajduje się jeszcze w takim stanie gorączkowego podrażnienia, ale przewidywać należy, że znaleźć się

może wbrew woli naszej. Kierownicy jego dziś już z tym faktem powinni się liczyć i rozważyć, co w takich okolicznościach zmysł polityczny czynić nakazuje. Sprawa ta wymaga głębszego zastanowienia się nad nią, jedno wszakże dziś już zaznaczyć trzeba, że dotychczasowa taktyka wypierania się wszelkich takich objawów usposobienia ludu i nadawania im fałszywego znaczenia, ani skuteczną nie jest, ani zmysłu politycznego nie dowodzi.

W Kołomyi sądzono ciekawą sprawę, która rzuca pewne światło na propagandę rosyjską w Galicyi i działalność t. zw. moskalofilów, wątpimy jednak, czy te odkrycia będą miały wpływ jakikolwiek nie tylko na sfery rządzące, ale i na poglądy społeczeństwa polskiego na sprawę ruską. Tyle razy odsłaniano już intrygę moskalofilów, z której zresztą oni sami tajemnicy nie robią, nie miało to jednak żadnego skutku. Śledzenie, nieudolne zresztą, podejrzanego stosunków z rządem rosyjskim i wpływów »wędrownego rubla« nie wystarcza chyba w tym wypadku. Oprócz agentów rosyjskich i wypłacanych rublami subsydjów, są jeszcze w moskalofilstwie inni ludzie i inne czynniki, których zbadać i poznać byłoby dla nas ważniejszym. Niedawno *Gazeta kościelna* zaznaczyła fakt znamienity, że większość duchowieństwa unickiego należy do stronnictwa moskalofilskiego, i że oprócz księży, którzy niemal jawnie przechylają się ku prawosławiu, jest w tym obozie wielu gorliwych unitów, podczas gdy narodowcy są dla sprawy swego wyznania zazwyczaj obojętni. Właściwie mówiąc, moskalofilami po trosze są wszyscy prawie Rusini, z wyjątkiem tej grupy narodowców, która dzięki poparciu rządu, przedstawia w sejmie lud ruski. *Hatyczanyn* z sympatją mówi nie tylko o Romańczuku, ale czasem i o radykałach ruskich, chociaż jeden i drudzy nazywają się narodowcami. Wszystkie te frakcje, chociaż kłócą się zwykle z sobą i w programach wykazują różnice zasadnicze, godzą się w akcyi politycznej i w nienawiści do Polaków, którą *Hatyczanyn* jawnie wyznaje, a inne odłamy niezręcznie ukrywają. Moskalofile mają program pozytywny, narodowcy zaś z *Dila* i radykali dążą wraz z nimi do zerwania wszelkiej wspólności z Polakami, ale czego chcą po za tem, sami dobrze nie wiedzą, chociaż rozmaite programy fabrykują. Charakterystycznym dokumentem jest wydana świeżo odezwa socjalistów ruskich (*Pokłyk do robotników Rusyniów*), którzy, po sporze z socjalistami polskimi, zamierzili utworzyć oddzielną organizację. Odezwę, którą podpisali pp. Pawlik, Franko, Borysławski i in. znamy jedynie ze sprawozdania w *Słowie Polskim*, ale nie chodzi nam o szczegóły, tylko o treść jej i ton. Socjaliści ruscy wyznają, że działali zgodnie z Polakami, dopóki ci wyznawali zasady kosmopolityczne. Z chwilą jednak, kiedy w stronnictwie socjalistycznym zapanował kierunek patryotyczny, działanie wspólne stało się niemożliwym. Widocznie autorowie odezwy sądzą, że socjalistom Rusinom wolno być patryotami, ale Polacy powinni być kosmopolitami, bo w czem ich sprawom kierunek patryotyczny polski szkodził — nie wyjaśniają. Trudno bowiem poważnie brać zarzutu, że krzywdą lub obrazą dla Rusinów był udział organizacji socjalistycznej w obchodzie rocznicy konstytucyi 3 maja. Śmieszniejszy jest jeszcze powód ostateczny wystąpienia z organizacji, mianowicie, że na kongresie londyńskim socjaliści polscy żądali utworzenia w przyszłości Rzeczypospolitej polskiej i przemawiali w imieniu wszystkich socjalistów galicyjskich, pomiędzy którymi są i Rusini.

Odezwy, podpisanej przez dwóch ludzi rozumnych i wykształconych, nie możemy tłumaczyć naiwnością, która w tym wypadku szłaby za daleko i zasługiwała na inne miano. Jedyną więc pobudką napisania jej i wytworzenia oddzielnej organizacji była ślepa nienawiść do Polaków i jakaś dzika, chorobliwa pretensja do wykazania swej samoistności, której nikt nie groził, na którą nikt nie nastawał. Socjaliści polscy z pewnością skorzystają z tego wyłączenia z organizacji żywiłów najmniej politycznie wyrobionych, odezwa zaś pozostanie dokumentem, świadczącym, że wspólna działalność z Rusinami dla żadnego stronnictwa, które jest i chce być polskiem, nie jest dziś możliwą.

Wprawdzie jest stronnictwo ruskie, które obecnie działa zgodnie z Polakami, ale czy i ten kompromis jest dla nas pożądanym — wątpić wolno. Sprawozdanie poselskie p. Wachnianina, jednego z przywódców stronnictwa narodowego, wykazuje dowodnie, że polityka ugodowa zapewniła Rusinom w ciągu lat ostatnich poważne zdobycze. Otrzymali oni kilka szkół średnich, jedną katedrę nową na wydziale filozoficznym, zaprowadzenie alfabetu ruskiego w korespondencyi urzędowej i t. d. Wszystkie te ustępstwa utrwalają odrębność narodową Rusinów nie tylko w słusznych jej wymaganiach, ale i w takich właściwościach niepożądanych, jak istnienie alfabetu oddzielnego. Co zaś na kompromisie zyskali Polacy? Nic, albo w najlepszym razie bardzo niewiele. Stronnictwo ugodowe niema wśród Rusinów żadnego wpływu i przy wyborach władze muszą popierać za pomocą nadużyć kandydatury tych posłów, co wywołuje niezadowolenie ludności. Sprawa ruska jest więcej sprawą społeczną i ekonomiczną, aniżeli narodową. Żadne ustępstwa, że tak powiem, filologiczne i literackie niezadowolenia ludu ruskiego w najmniejszej części nie usuną, nie zaspokoją też inteligencji ruskiej, która uważa się — i poniekąd słusznie — za krzywdzoną i uposledzaną, natomiast wytwarzają sztucznie odrębność kulturalną i narodową. Ale polityka polska względem Rusinów nie może wejść na właściwą drogę reform społecznych i ulg ekonomicznych, bo jest polityką jednej klasy, która gotowa raczej narazić interes narodowy, aniżeli swój interes klasowy...

Nowa Reforma zamieściła list obywatela z Królestwa, zasługujący na uwagę z tego względu, że autor jego, człowiek rozumny i w przekonaniach umiarkowany, w zasadzie zwolennik pojednania Polaków z Rosyą i nazywający rok 1863 »opłakany błędem politycznym«, roztrząsa gruntownie złudzenia ugodowców dzisiejszych. Rozbiera on dwa główne wskazania polityki ugodowej: lojalne sprawowanie się i współdziałanie z rządem. »Co do sprawowania — pisze — to jestem przekonany, że jesteście jedną z najprzykładniejszych prowincyi państwa rosyjskiego. Jesteśmy przykładniejsi i od Kaukazu i od Finlandyi i od Kurlandyi i od Tweru i od samej Moskwy. Lecz dopóki cenzurę polityczną będzie nam pisała obecna prasa rosyjska i władza miejscowa, to za żadną ofiarę i za żadne zaparcie się nie otrzymamy stopnia dostatecznego, pozostaniemy »niebłagonadziejni«. Czyż społeczeństwo, które za to, że jest obdzierane, ścigane, prześladowane, szpiegowane, więzione i wywłaszczane, płaci najregularniej w całym państwie podatki, daje rekruta, nie spiskuje i nie stawia nawet żadnej opozycyi, ma być uważane za nielojalne?«

Drugi punkt, zalecający współdziałanie z rządem, zakrawa — zdaniem autora — wprost na drwiny. Jest to »niewolniczy wykravek z pism polityków krako-

wskich« i ugodowcy w zaborze rosyjskim, powtarzając go, są »ludźmi kompromisu, bez warunków i stron do kompromisu dążących«.

»Według pojęć europejskich, zalecanie narodowi, pozbawionemu doszczętnie autonomii, ściganemu i tępi-nemu, współdziałania z rządem, wywołałoby litosne wzruszenie ramionami. Przez stuletnie obcowanie z Rosyanami, mogliśmy jednak nauczyć się innej od europejskiej logiki. Gdybyśmy zajmowali jeszcze jakieś stanowiska w rosyjskiej administracji, w rosyjskiej skarbowości, sądzie i szkole w Królestwie, w gminie i parafii nareszcie, możnaby o tem współdziałaniu, jako środku objawiania się ducha legalnego i do dobra państwa zmierzającego, mówić. Ale dzisiaj, kiedy wszystkie instytucje rządowe w Królestwie stały się narzędziami ucisku narodowego i eksploatacji materialnej żywiołu polskiego, kiedy do tych instytucji mamy dostęp tylko jako opodatkowani lub badani, o jakim współdziałaniu może być mowa? Przecież współdziałać z rządem z ulicy nie podobna«.

Czytelnik nasz nie znajdzie w argumentacji nic nowego, przytoczyliśmy ją wszakże, jako dowód, że nawet ludzie umiarkowani i pragnący kompromisu nie podzielają mrzonek ugodowców i protestują przeciw sądzeniu przeszłości politycznej z punktu widzenia interesów bieżących. »Możemy żałować, ale nie potrzebujemy się wstydić, żeśmy tak długo bronili swej niepodległości« — powiada autor i dodaje:

»Nie wolno ze smutnej tradycji robić szmaty do ścierania stołu, przy którym zasiadają do strawy samolubne karły, chciwe żeru, a pozujące na mężów stanu i mędrców po czasie«.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 20 września.

Po powrocie z za granicę. Peszt i Warszawa. Wygląd miasta. Gmachy publiczne. Szkoły. Środki komunikacji. Mosty. Plantacje miejskie.

Powróciwszy świeżo z zagranicy, oddaję się rozpamiętywaniom na temat porównań między nami i naszymi najbliższymi sąsiadami, które mi się podczas podróży nasunęły. My tu, w Warszawie zbyt pogrążeni jesteśmy w trudnej walce o byt, ażeby umysł mógł wydzierać się dalej po za kres spraw powszednich, zbyt oszołomieni ciosami politycznymi, spadającymi raz po raz na naszą głowę, ażeby, przechodząc do rzeczy publicznych, umieć wy dostać się z zakłętą koła zwykłych tematów: »co Apuchtin nowego wymyślił na korzyść moskiewskiej kultury w naszym kraju?«, »czy Szuwałow zostanie na stanowisku? kto go zastąpi, jeżeli jej opuści?«, »jakiego nowego skandalu dopuścili się oficerowie?«, »kogo świeżo aresztowali żandarmi?«, »kogo obrabowała policja?«, »na jaki nowy dowcip wpadła cenzura?« i t. d., i t. d. Wiecznie to samo, ciągle jedna piosnka. Dopiero, gdy człowiek wy dostanie się na chwilę za kordon, gdy spojrzy z daleka na całość tych spraw, około których kręcą się myśli, zaczyna mu przychodzić do głowy, że my w tej dusznej, denerwującej atmosferze, w której żyjemy, doznajemy swojego rodzaju chronicznej kołowacizny, że najlepsze nawet wśród nas głowy nie mają szerszego poglądu na sprawy publiczne, że ludzie, w innych kierunkach wykazujący inicjatywę, pomysłowość, godną uznania, w rzeczach dotyczących naszej polityki, naszego stosunku do rządu, umieją się zdobyć za ledwie na

powtarzanie przy każdym nowym fakecie ciągle jednych i tych samych ogólników.

Ile razy wyrwam się za kordon, myśli te przychodzą mi do głowy, i wtedy staje mi przed oczyma całe ubóstwo naszej myśli zbiorowej, która zajmując się wiele dyskusjami nad panującym w naszym kraju systemem politycznym, nie ma nawet słabej świadomości tego, jak silnie ten system odbija się na naszym życiu, jak głęboko sięgają wywołane przezeń zmiany, jak wiele my na istnieniu jego tracimy, jakby życie nasze w innych, normalnych warunkach wyglądało...

Nie myślę tu sięgać zbyt głęboko: nie widzę w sobie w tym kierunku uzdolnień, ani też nie mam odpowiedniego materiału; chcę tylko podzielić się z czytelnikami garstką myśli, jakie się rodzą z powierzchownego zestawienia tego, co się widzi u nas i za rosyjskim kordonom.

Pierwszy raz byłem tego lata w Peszcie. Pociągnęła mnie wystawa i chęć przyjrzenia się choć pobieżnie Madziarom, których mamy tak blisko, a znamy tak mało. Nie miejsce tu rozwodzić się nad tem, jakie wrażenie zrobili na mnie Madziarzy i udający Madziarów Żydzi, natomiast nie zaszkodzi zabawić się w porównanie ich stolicy z naszą Warszawą, tym bardziej, że oba miasta prawie są równe pod względem liczby mieszkańców. Warszawa bez wątpienia ma więcej naturalnych warunków rozwoju: nie jest ona wprawdzie, jak Peszt, dzisiaj stolicą samoistnego królestwa, liczącego 17 milionów poddanych, ale zato jest centrem ekonomicznym dla obszaru o wiele większego, niż Węgry; jest ważnym punktem handlowym, przez który krzyżują się drogi z Europy na wschód azyatycki i półazyatycki, gdy Peszt leży na uboczu; jest głównym miastem Kongresówki, kraju stworzonego na przemysłowy, dzięki naturalnym bogactwom i otwartym rynkom wschodnim, gdy Węgry, o których przemysle dziś się tyle mówi i które go tak wspaniale rozwinęły, zamknięte ze wszech stron granicami celnymi, zdawałoby się, iż powinny pozostać krajem rolniczym; wreszcie Warszawa jest centrem życia umysłowego polskiego, które przecie wyżej trochę stoi, niż węgierskie.

I cóż?... Gdy Peszt, ze względu na swój wygląd bogaty i kulturalny, może współzawodniczyć z pierwszorzędnymi stolicami europejskimi, Warszawa robiłaby wrażenie zapadłej prowincji, gdyby nie jedna rzecz, która jej reputację ocala, mianowicie olbrzymi, iście stołeczny ruch uliczny. Publiczność warszawska ma o wiele więcej stołeczny fizyognomję od peszteńskiej, skromne zaś zabytki przeszłości, jakie posiada Warszawa, nadają jej bądź co bądź pewną odrębną, tradycyjną fizyognomję, znacznie zresztą zartartą przez ostatni okres szybkiego wzrostu, w Peszcie zaś na każdym kroku wyłażą na wierzch znamiona dorobkiewiczza. Ale jakaż różnica w ogólnym wyglądzie miasta i w szczegółach na korzyść ostatniego!...

Wtedy dopiero nabiera się pojęcia, co można zrobić z miasta staranną gospodarką, gdy się zobaczy te wspaniałe, wyłożone kamieniem brzegi Dunaju, z ciągnącymi się po obu stronach szeregami bogatych domów i pysznych gmachów publicznych, takie monumentalne budowle, jakimi tam rząd ozdobił miasto, poczynając od imponującego muzeum narodowego, a kończąc na świeżo wzniesionym parlamencie, te piękne, zgodne z nowoczesnymi wymaganiami gmachy szkolne, te pięć wielkich teatrów, te trzy olbrzymie i estetyczne mosty na Dunaju, te ogromne i wygodne dworce kolejowe, te wybornie brukowane i utrzymane ulice, a na nich gęstą sieć tramwajów elektrycznych, konnych, a obok tego elektryczną kolej podziemną, kolej linową i kolej zębatą w Budzie, te parki miejskie i plantacje i t. d.

Co w porównaniu z tem wszystkim ma Warszawa?

Brzegi Wisły, które do niedawna były cuchnącym śmietnikiem, podziśdzień, pomimo pewnego uporządkowania, pozostały brudnym i zapuszczonym polem dla wylewów kapryśnej rzeki, nie ujętej w karby. Rozpoczęte pod silnym naciskiem opinii roboty regulacyjne wloką się żółtym krokiem, prowadzone w ten sposób, żeby każda wiosna jak najwięcej z dokonanych już robót popsuka, żeby w ten sposób przewlekało się dzieło regulacji, przy którym inżynierowie zarządu komunikacji znakomicie napychają sobie kieszenie. Projekty urządzenia europejskich bulwarów wzdłuż brzegu, przedstawiane przez obcych kapitalistów, idą do kosa, miasto na swoją rękę nic nie robi, i ogromne przestrzenie Powiśla leżą, nie przynosząc odpowiedniego dochodu i szpecąc miasto, zamiast je zdobić.

Gmachy publiczne, o ile istnieją, należą początkiem swym do przeszłości. Z nowszych gmachów jedyny, zasługujący na uwagę — to gmach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Rząd, ciągnący olbrzymie podatki, niczem się nie przyczynił do ozdobienia miasta, na potrzeby zaś swoje zużytkował zagrabione pałace polskie. Mamy biuro generał-gubernatora w Zamku Królewskim, rząd gubernialny — w pałacu Zajęcza, izbę sądową w pałacu Krasieńskich, sąd okręgowy — w pałacu Paca, izbę skarbową — w pałacu rządziwilkowskim, zarząd ministerstwa wojny — w skonfiskowanym po zamachu na Berga domu Andrzeja Zamojskiego i t. d., i t. d. Gdy każdego miasta największą ozdobą są gmachy rządowe, nam rząd wszystko bierze, nie dając nic w zamian, a nawet oszpecając miasto, bo, gdy przyciśnięty potrzebą, zbuduje coś, to taką obrzydliwą budę, jak izba obrachunkowa na Nowym Świecie, grożąca zawaleniem z powodu, że dygnitarze budujący ją zbyt się obłowili, lub jak biblioteka główna (zbudowana dzięki temu tylko, że dytychczasowe pomieszczenie jej groziło zawaleniem, do tego stopnia, że sufity trzeba było podpierać belkami), w gruncie rzeczy nie najgorsza, ale stylem swym i miejscem, w którym ją postawiono, psująca całkowicie pałac kaźmierowski, w którym się mieści uniwersytet. Po za tem rząd buduje tylko koszarę i... cerkwie.

Miasto, wysysane przez rząd i rozporządzające niesłychanie skromnymi środkami, z których nadto milion rubli rocznie musi łożyć na utrzymanie policyi, nie może sobie pozwalać na rozrzutność. Nadto skutkiem braku samorządu, a zatem i braku inicjatywy ze strony mieszkańców w rozporządzaniu funduszami oraz kontroli obywatelskiej nad ich użytkowaniem, magistrat robi często najniewłaściwszy użytek z posiadanych pieniędzy. To też zarząd miasta także niewiele się przyczynił do ozdobienia go, a jedyny gmach miejski, mogący mieć jakieś pretensje estetyczne — to ratusz, względnie nowy, wybudowany jakby umyślnie po to, żeby oszpecić plac przed pięknym gmachem teatralnym.

Żadnego muzeum miejskiego, ani rządowego nie mamy prócz gabinetów przy uniwersytecie, ufundowanych prawie wyłącznie z prywatnych ofiar polskich.

Jak wyglądają u nas szkoły?... Nie mówimy o nikczemnym systemie wychowawczym — chodzi nam tylko o mury. Spytajmy, jaką dobrą szkołę u nas rząd zbudował?... Uniwersytet, jak powiedzieliśmy, mieści się w pałacu Kaźmierzowskim, gimnazjum I — w zeszpeconym potwornie przez Apuchtina pałacu Staszycza, ofiarowanym polskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk, III — w rozszerzonym klasztorze OO. Misyjonarzy, szkoły realnej połowa w domu jezuitskim na Kanonii, druga zaś na wynajętym piętrze prywatnego domu, nie mającego podwórza wcale. Trzy gimnazja (II, IV i VI) mają dawniej zbudowane domy, niezbyt zresztą dogodne, dwa zaś pozostałe (V i praskie) mieszczą

się w wynajętych domach prywatnych, wcale na szkoły nie budowanych i najnieodpowiedniejszych do takiego pomieszczenia. O szkołach początkowych miejskich niema już co mówić — mieszczą się one w szczupłych mieszkankach, w domach prywatnych, gdzie dzieci szkolne zmuszone są chodzić po jednych schodach ze służącymi lokatorów, wylewającymi pomyje.

Porównajmy ten stan rzeczy już nie z Pesztem, na który państwo łoży, upiększając stolicę kosztem całego kraju, ale ze Lwowem, miastem prawie cztery razy mniejszem od Warszawy, a z pięćdziesiąt razy pewnie uboższem od niej, bo nie mając wcale większego przemysłu ani handlu. Zobaczmy jakie tam budynki mają szkoły ludowe: są to ogromne, dwupiętrowe gmachy, urządzone racjonalnie podług nowoczesnych wymagań, jednym słowem przedstawiają one *luxus*, dla nas niezrozumiały. To samo widzimy w Krakowie. A nie trzeba zapominać że budowle te wznoszą kosztem własnym miasta, leżące w kraju słusznie okrzykniętym z nędzy.

Nie mówię już o tem, że my wielu najpotrzebniejszych szkół nie mamy, że Warszawa, stolica kraju przemysłowego i handlowego, nie ma ani akademii handlowej, ani wyższej szkoły technicznej. Dzięki szczególnym staraniom pozwolono dawniej otworzyć prywatną szkołę handlową (Kronenberga), a obecnie taką techniczną (Mittego), które rady sobie nie mogą dać z liczbą kandydatów, pomimo że nie dają żadnych praw, związanych z posiadaniem dyplomów urzędowych i że program ich nie dosięga programu szkół wyższych.

W jednym kierunku zaczęliśmy się urządzać trochę po europejsku. Mówię o brukach i chodnikach ulicznych, dla których ostatnimi czasy zrobiono wiele, układając na najgłówniejszych ulicach bruk drewniany i kładąc szerokie chodniki betonowe nawet na drugorzędnych. Zawdzięczamy to jednak nie systemowi, ale raczej przypadkowi, że na czele inżynierów miejskiej znalazł się człowiek, wyjątkowo oddany dobru miasta, nie uznający «pobocznych» dochodów, a starający się skromnymi, będącymi w rozporządzeniu jego środkami, jak najwięcej dla Warszawy zrobić.

Weźmy dalej nasze środki komunikacji wewnątrz miasta. Mamy wprawdzie tramwaje konne, ale liczba linii, jak na wielkie i ruchliwe miasto, jest niezmiernie uboga, i są całe dzielnice, z których do środka miasta inaczej dostać się nie można, jak na własnych nogach. Nie trzeba dodawać, że w każdym większym mieście, tak wysoko, jak Warszawa, nad poziomem rzeki położonem, oddawna by już pomysłało o urządzeniu jakiejś racjonalnej komunikacji z dolną częścią nadbrzeżną, za pomocą tramwaju elektrycznego, hydraulicznego, czy czegoś podobnego.

Niema chyba drugiego miasta na świecie, któreby, leżąc po obu stronach rzeki, tak fatalną miało komunikację między obu brzegami. Na prawym brzegu Wisły leży przedmieście Praga, liczące przeszło 50 tysięcy mieszkańców i szybko rosnące ostatnimi czasy. Znajdują się tam dwa dworce kolejowe: petersburski (do Wilna, Rygi, Petersburga) i terespolski (do Moskwy, Kijowa, Odesy); od dziesięciu blisko lat jest tam główny cmentarz Warszawy (brudzieński), oddawna zaś tam się mieszczą główne targi na konie, bydło i trzodę chlewną, są dwie fabryki, magazyny zbożowe, jest gimnazjum, do którego uczęszcza wiele młodzieży z lewego brzegu rzeki i t. d. Przedmieście to daleko się ciągnie wzdłuż brzegu rzeki, na takiej niemal przestrzeni, jak sama Warszawa. Przy tem wszystkim jedyną komunikację Warszawy z Pragą stanowi stary, zbudowany przed czterdziestu laty kratowy most żelazny, (daleki zresztą od wszelkich pretensji do piękna), odznaczający się nadto niezwykłą wężkością. Po tym moście idzie

środkiem pojedynczy tór kolei konnej (tramwaje idące z przeciwnej strony i mające minąć znajdujący się na moście, muszą często długo na tamten czekać), a po obu jego stronach pozostaje po pięć metrów na szerokość dla masy dorożek, pędzących na dworce kolejowe i targi praskie, dla licznych omnibusów konnych, dla nieskończonych szeregów wozów ładownych, wlokących się na stacye towarowe dwóch kolei, dla konduktów pogrzebowych, przeciągających jeden za drugim na Brudno, dla stad wołów i nierogacizny, przepędzanych z targów praskich, wreszcie dla niezliczonej masy wozów włościańskich, które, zwłaszcza w dniu targowe, w piątki, zapychają most tak, że częstokroć na jakąś godzinę komunikacya całkiem się przerywa, bo nikt nie może ruszyć ani w prawo, ani w lewo.

Nie mówiąc więc już o tem, że ludzie częstokroć z powodu oddalenia mostu od bardzo ruchliwych punktów miasta muszą przebywać drogę podwójnej długości (np. przy jeździe z dworca wiedeńskiego na terespolski), widoczną jest rzeczą, że dotychczasowy most nie wystarcza dla wielkiego ruchu kołowego który się po nim odbywa.

Pomimo to wszystko dalecy jesteśmy od posiadania mostu nowego, gdyż rząd nie ma wcale ochoty przyczyniać się do rozwoju naszego miasta. Gdy przed dwudziestu laty stawiano most drugi, kolejowy, za sprawą władz rządowych nie uwzględniono wcale potrzeb ruchu kołowego, licząc się tylko z potrzebami kolejowemi i ze względami strategicznymi. Postawiono go też za miastem, pod cytadelą i dano mu tak małą szerokość, że dwa wozy nie mogą się na nim wyminąć, i gdy kto na most wjeżdża, sygnaluje się na przeciwną stronę, żeby nikogo nie wpuszczono. To też drugi most, prócz kolei, służy wyłącznie do komunikacyi między cytadelą i znajdującym się na przeciwnym brzegu fortem śliwickim i koszarami.

Ostatnimi czasy wprawdzie władze zainteresowały się nieco sprawą budowy trzeciego mostu, ministerstwo wojny bowiem uznało jego potrzebę (u nas zawsze te tylko względy decydują), a obecnie, gdy, skutkiem przerabiania zjazdu do mostu, komunikacya jeszcze się utrudniła i półworność obecnego stanu rzeczy bardziej jeszcze się uwydatniła, nawet prasa rosyjska uderzyła na alarm i *Warsz. Dniownik* oraz *Nowoje Wremia* postawiły tę sprawę na porządku dziennym. A rząd ciągle rozmyśla nad tem, jakby się obejść bez wydania na nasze potrzeby części pieniędzy z naszych kieszeni wyciągniętych.

I pomyśleć, że Peszt, nie mający wcale większego ruchu przez rzekę, posiada trzy wspaniałe, szerokie mosty!...

Wspomniałem o dworcach kolejowych. Czyby kto, co nie widział naszego miasta, uwierzył, że Warszawa, wielkie miasto, przeszło pół milionowe, pierwszorzędnej wagi w europejskim ruchu kolejowym stacya, w której się schodzą bardzo ruchliwe linie kolejowe, nie ma ani jednego przyzwoitego dworca. I tu widoczna jest zła wola ze strony rządu, bo projekty nowego centralnego dworca, pochodzące od ludzi prywatnych, błędzą po kancelaryach, czekając widocznie aż się znajdzie jaki tytan finansowy, co przy pomocy olbrzymiej łapówki otworzy im wrota do rady państwa i do zatwierdzenia.

Spojrzymy wreszcie, jak obfituje nasza stolica w parki i plantacye, będące taką ozdobą innych miast. Po za parkiem łażeniowskim, z sąsiednim ogrodem botanicznym za miastem, ogrodem Saskim i Krasieńskim w środku miasta, my właścivi nie mamy. Wszystkie wspomniane ogrody — to zabytki dawnych czasów, można więc powiedzieć, że w bieżącym stuleciu nie wzbogaciła się Warszawa pod tym względem wcale. Bo przecie nie można nazwać parkiem t. zw. »parku Aleksandrowskiego« na Pradze, będącego właściwie grupą wierzbiny, stanowiącą przytułek dla złodziei

i zarazem pole wybryków dla żołdatów, napadających na kobiety. Tymczasem mamy pod bokiem taką Saską Kępę, która mogłaby być czemś bez porównania piękniejszym, niż wyspa Małgorzały w Peszcie, zamieniona we wzorowy park i będąca prawdziwym cackiem. Nasza Saską Kępą pozostała taką, jaką ją Pan Bóg stworzył, a pomimo to do ostatnich czasów była ulubionem miejscem wycieczek niedzielnych ludu warszawskiego. Dzięki jednak opiece rządu i tę wartość zaczyna tracić. W ostatnich dniach mieszkańcy jej wnieśli podanie do władzy, skarżąc się, że rujnują ich wylewy Wisły, od której nie są wcale zabezpieczeni, i że publiczność coraz bardziej od ich siedziby stroni, wobec powtarzających się coraz częściej rozbojów, na całą bowiem Saską Kępę jest jeden tylko strażnik policyjny. A tymczasem Warszawa czwartą część swych zasobów rocznych oddaje na utrzymanie policyi.

W ostatnich latach uformował się w Warszawie komitet plantacyi miejskich, który ma się zajmować upiększaniem miasta, ale tymczasem działalność jego, przy łaskawej pomocy władz, wyraziła się w popuszczeniu paru placów miejskich przez założenie skwerów.

Proszę pojechać np. do Lwowa, gdzie magistrat przy skromnych środkach miasta otoczył je dokoła starannie urządzonemi plantacyami, założył śliczny park Stryjski (Kiliński), obok istniejących już innych, utrzymywanych starannie.

Nie będę już mówił o braku np. pomników, bo tu rząd, wrogi narodowi, z innych względów nie pozwala czcić zasłużonych ludzi.

Jaka jest przyczyna tego wszystkiego? Dlaczego, mając miasto bogate, leżące w kraju, który pod względem ekonomicznym ciągle postępuje, tak mało widzimy w niem urządzeń nowoczesnych, na które zdobywają się inne, bardzo nawet ubogie miasta?...

Odpowiedź jest jedna. Mamy rząd, który nas wyzyskuje, ściągając olbrzymie podatki, nie dla nas nie robi, ale przeciwnie, przeszkadza wszystkiemu, co dla siebie chcemy zrobić; pozbawieni jesteśmy wszelkiego samorządu gospodarczego, skutkiem czego nie mamy prawa najmniejszego o własnych potrzebach zbiorowych myśleć; pod wpływem systemu panującego tak jesteśmy zahukani, tak mało mamy swobody myśli, że nawet nie umiemy uświadomić sobie, czego nam potrzeba, i bodaj tam, gdzie moglibyśmy coś dla siebie zrobić, nie umiemy jednego kroku rozsądnego postawić.

Przemysłowiec.

Łomża we wrześniu.

Środki komunikacyi. Fortece. Dobrodrojeństwa opieki rządowej. Administracya. Gubernator. Naczelnicy powiatów. Żdzierstwa i kradzieże. Środki wywoływania uczuć wiernopoddańczych. „Dobrowolna“ budowa cerkwi. Sprawy polityczne.

Ze wszystkich gubernij Królestwa Polskiego łomżyńska ostatnimi laty doznaje najtroskliwszej bodaj opieki ze strony rządu. Gdy gdzieindziej o drogę bitą mieszkańcy doprosić się nie mogą, gdy nadziei nawet nie mają, żeby im pozwolono zbudować drogi żelazne, niezbędne dla rozwoju ekonomicznego, jak n. p. z Łodzi do Kalisza, gdy w całej gubernii kaliskiej, bez względu na jej rozwój przemysłowy i wyższy stan kultury, niema ani kawałka kolei, u nas rząd dobrowolnie zbudował długą linię kolejową Nadnarwiańską (z Łap do Ostrołęki i z Ostrołęki do Małkini) a obok niej trochę dróg szosowych bardzo dobrych. Wprawdzie drogi te nie łączą wcale najważniejszych punktów handlowych gubernii, wprawdzie kolej omija zdaleka miasta i prowadzi przez pustkowia, niemniej przeto te środki komunikacyi istnieją i mieszkańcom do pewnego stopnia służą.

Przyczyna tego wyróżnienia leży w strategicznym znaczeniu gubernii, którą przecina łańcuch fortec, stanowiący linię obronną przeciw Prusom. Nie mówiąc o Pułtusk, który obecnie oddzielony został do gub. warszawskiej, w granicach łomżyńskiej ufortyfikowano ostatnimi czasy Rożan, Ostrołękę, Łomżę, Osowiec (Goniądz), nie mówiąc o rozmaitych robotach drobniejszych. Na południe od tych punktów, w obrębie linii obronnej, stworzono środki komunikacyjne, jakich nie ma żadna część Królestwa, pozostawiając zato północną część w całkowitem zaniedbaniu.

Mieszkańcy tej uprzywilejowanej połowy gubernii mogliby błogosławić militarizm, jedyny czynnik, zdolny pobudzić rząd zaboreczy do rozrzutności we wspomnianym kierunku, gdyby nie to, że jednocześnie kilka powiatów zamieniono na jeden wielki obóz, zgromadzono w nich masę wojska, wpływającego rozkładowo na miejscowe stosunki społeczne. Są miejscowości, gdzie kobiety same nie wychodzą do robót w polu, wobec częstych wypadków zgwałcenia przez żołdactwo, w wielu zaś okolicach zaczyna się szerzyć epidemicznie wśród ludu syfilis. Dobroczytny militarizm każe sobie drogo płacić za kulturalne dary. Na tem się też kończy szczególna opieka ze strony rządu nad naszą częścią kraju. Wszystko zresztą pozostaje w normach, przyjętych dla całego Królestwa.

Myśmy się tak już przyzwyczaili, że administracja rosyjska u nas przeznaczona jest tylko do tego, ażeby dezorganizować społeczeństwo i tamować wszelki rozwój, że składa się ona z nikczemników ostatniego czestokroć gatunku, iż nie przychodzi nam nawet do głowy, że mogłoby być lepiej, że na stanowiskach gubernatorów, naczelników powiatu i t. p. mogliby być ludzie uczciwi, życzliwi dla mieszkańców, i że wtedy dopiero możnaby uważać stosunki za normalne. Często skutkiem tego może się nawet wydawać, żeśmy z tej administracji zadowoleni, nie skarżymy się bowiem na jej przedstawicieli, a niektórych nawet chwalamy za to, że są lepsi od innych — najgorszych.

Kiedy niedawno zmarł gubernator łomżyński Essen, można było spotkać ludzi, mówiących o nim: »był to dobry człowiek...«, a gdy się ich pytano, dlaczego uważają go za dobrego, wskazywali, że są inni — gorsi. Żeby dać czytelnikowi pojęcie, jaki administrator nazywa się »dobrym«, dosyć powiedzieć, że ten właśnie Essen odmówił pozwolenia na założenie w Łomży towarzystwa wioślarskiego, pomimo że towarzystwa takie w innych miastach istnieją, że zabraniał zakładać straży ogniowych ochotniczych (n. p. w Mazowiecku), pomimo że istnieje zatwierdzona przez cara ustawa dla nich, że istniejącym już w gubernii strażom podbierał drobne oznaki, noszone przez członków, a zatwierdzone ustawą, że zniósł maszerowanie straży i t. d., i t. d. Gdy jeden z rzemieślników łomżyńskich, dowiedziawszy się, że w innem mieście gubernialnem istnieje czytelnia bezpłatna, przyszedł do gubernatora z prośbą, żeby dał pozwolenie na taką samą w Łomży, ten pozwolenia stanowczo odmówił, nagadał przy tej sposobności masę urzędowych głupstw, zagroził prosiącemu, że się dowie, kto go namówił do starania się o czytelnię, zwymyślał go za to, że mówi po polsku, wreszcie zakończył urzędową rozmowę niezbyt etykietałnem: „*ubirajcieś procz!*“ (wynoś się pan precz).

Znakomity przyczynek do charakterystyki rządów gubernatora stanowią postacie naczelników powiatowych, których sobie Essen podbierał i których na urzędach tolerował. Zarząd powiatem łomżyńskim powierzono niejakiemu *Liszewowi*, nałogowemu pijakowi, którego często znajdowano w ryszotku, łapownikowi, znanemu wspólnikowi grasującej w pow. łomżyńskim bandy koniokradów. Paru jego strażników, skompromitowanych udziałem w tem przedsięwzięciu, umknęło do Rosyi, gdzie ich sądy nie mogły zna-

leżć. Nie przeszkadza to naczelnikowi oddawna służyć oraz otrzymywać ordery i nagrody. Godny towarzysz jego, naczelnik pow. mazowieckiego, *Naumow*, ustąpił już miejsca innemu, ponieważ zapisał się ostatecznie. Trzymał on w domu specjalnego kompana, z Rosyi sprowadzonego, który mu służył wyłącznie do picia, skutkiem czego obadwaj już od rana byli pijani, a naczelnik w biurze wcale nie bywał. Uważany przez gubernatora za najlepszego, naczelnik pow. ostrowskiego, *Spiridonow*, był policmajster łomżyński, przypominał się wszystkim mieszkańcom w czasie procesu Kiryceńki. Jednogłośnie opinia uznała, że ostatni był naśladowcą Spiridonowa, tylko mniej zręcznym, bo był policmajster łomżyński dotychczas się nie złapał i coraz wyżej idzie. Robiąc dobre interesy, nie gardzi on nawet dwoma rublami łapówki. Jako złodziej jest mistrzem, któremu nie byle kto dorówna. Oto jeden z jego czynów. Pewnemu szlachcicowi w pow. ostrołęckim wykradziono córkę. Przewidujący rycerz, który tego czynu dokonał, poradził pannie zabrać ojcu 3.000 rubli. Ojciec, zauważywszy nieobecność córki i pieniędzy, popędził za uciekającą parą w kierunku najbliższej stacyi kolejowej. Mając po drodze naczelnika straży ziemskiej w Ostrowi, którym był właśnie Spiridonow, wstępuje do niego z prośbą o pomoc. Ten z początku ociągał się, ale dowiedziawszy się o pieniądzach, zwachawszy dla siebie interes, otrzymał nadto od ojca na wydatki 50 rubli, puścił się w pogoń. Znalazł na stacyi pannę, odebrał jej pieniądze, a następnie zaprowadził do ojca. »Oto twoja córka — oto twoje pieniądze!« rzekł do ojca. Ten, skutkiem wzruszenia i pośpiechu, zdobył się ledwie na podziękowanie dobroczynnemu naczelnikowi, a gdy po odejściu ostatniego zabrał się do liczenia pieniędzy, znalazł tylko połowę sumy. Córka, jak się okazało oddała naczelnikowi wszystko, a ten wziął sobie... jako honorarium, 1500 rubli. Szlachcic chciał sądownie dochodzić swej krzywdy, ale adwokaci mu odradzili, wobec tego, że cała rzecz odbyła się bez świadków. Innym razem p. Spiridonow ukraść z trupa zmarłego rekruta, pochodzącego z Rygi, 3 tysiące rubli, które tenże miał zaszyte w woreczku na piersiach. Rodzice zmarłego, na wiadomość o pochowaniu syna bez ich wiedzy, zażądali ekshumacyi zwłok dla wydostania pieniędzy. Przy akcji tym znaleziono tylko paręset rubli, które p. S. zostawił. Niektórzy powiadają, że i te paręset rubli podrzuceno przy ekshumacyi.

Podobni działacze zarządzają i innymi powiatami, z tą różnicą, że, stojąc niżej pod względem umysłowym, nie umieją dokonywać tak genialnych operacyi. O znajomości rzeczy, techniki administracyjnej, potrzeb mieszkańców, mowy tu być nie może, znany bowiem system rosyjski przysyłania oficerów prosto z armii na administratorów, tem samem stwierdza, że znajomość rzeczy jest niepotrzebna. Jak może dobrze zarządzać powiatem taki Jurjew w Szczuczynie lub Blumenfeld w Ostrołęce, który został naczelnikiem powiatu z...podporucznika piechoty. O inteligencji i instynktach tutejszych administratorów daje pojęcie taki np. fakt, że pewnemu naczelnikowi powiatu, zaproszonemu na imieniny do proboszcza, po uczcie, gdy już dobrze był pijany, przyszła myśl zrobić rewizyę u gospodarza; dokonał też jej i w rezultacie spisał protokół o znalezieniu broni palnej, na którą ksiądz nie odnowił pozwolenia.

Powszechnie wiadomo, że pisarze gminni, wójci, księża, kupey żydzi i t. d. płacą naczelnikowi powiatu mniejszą lub większą pensyę roczną. Najlepiej umieją dochodzić do porozumienia z przedstawicielami władzy żydkowie, dzięki czemu w miasteczkach naszych nie widać żadnego postępu — brudy i wszelkiego rodzaju nieporządku cisną się w oczy, nadużycia i omijanie przepisów widzi się na każdym

roku, a powiatowe króliki, sownie opłacone, patrzą na wszystkich przez palce.

Bywają jednak chwile, kiedy przedstawiciele władzy stają się nieśtychani gorliwymi wykonawcami otrzymanych z góry instrukcyi. Do takich należał okres uroczystości koronacyjnych w Moskwie. Naczelnicy powiatów zmuszali zebrania gminne do odpowiednich uchwał, używając częstokroć tak skutecznego środka, jak sadzanie do kozy członków zgromadzeń, którzy przeciw ich projektom występowali. Największą gorliwością oznaczali się ci, którzy najwięcej mają na sumieniu łapówek, zdzierstw wszelkiego rodzaju i t. p. Mielisły tedy po gminach wiejskich, miasteczkach i miastach nakazane uroczystości, składkowe obiady »dobrowolne«, bale, zabawy ludowe i t. p. Przytem zwykle naczelnicy powiatów rozkazywali sołtysom i podsołtysom ze wszystkich wsi zjawiać się do miasta, (schowawszy blachy, będące oznakami ich godności), i tam występować jako lud, który »dobrowolnie« z okolicznych wsi na uroczystość napłynął. Straż ziemską z pół spędzała pracujących włościan, grożąc aresztem i karą 25 rubli za robotę w ciągu trzech »świętych« dni. Oto, w jaki sposób dostarczano *Warsz. Dniownikowi* argumentów do twierdzenia, że lud w całym kraju dobrowolnie święcił dni uroczyste. Były też ukryte starannie przez władzę fakty oporu. Zdarzało się, że, gdy naczelnik powiatu aresztował na zebraniu gminnym dwie lub trzy osoby, całe zgromadzenie prosiło o aresztowanie. Pominąwszy wszystko, takie aresztowania członków zebrań gminnych, nie zgadzających się ze zdaniem przedstawiciela administracyi, znakomicie świadczą, czem jest samorząd gminny, udzielony przez »opiekuńczy« rząd naszemu ludowi.

Ciekawe w tym względzie nadużycie władzy przynosi nam wieści z miasta powiatowego, Ostrowi, gdzie naczelnikiem jest wspomniany wyżej Spiridonow. Znany ten złodziej i zdzierca, o którym, w obawie wielkiego skandalu już prokuratorzy zaczynają coś niecoś przebąkiwać, tylko na polityce wznosi się do góry. Wpadł on ostatnimi czasy na myśl zbudowania w Ostrowi cerkwi prawosławnej, naturalnie, z »dobrowolnej« chęci uczczenia »św. koronacy« przez miasto za miejskie pieniądze. W tym celu, porozumiewawszy się z burmistrzem, człowiekiem, jak powiadają, nader ograniczonym, a nadto klasycznym tchórzem, zwołuje on w tajemnicy ławników miejskich i powiada im wprost, że carowi najwięcej się podoba budowa cerkwi prawosławnej przez miasto. Natychmiast też przedstawił im do podpisania gotowy protokół o asygnowaniu z kasy miejskiej 2.000 rubli i oddaniu pod budowę placu miejskiego. Gdy jeden z ławników, w całkiem delikatny sposób, zwrócił naczelnikowi uwagę, że dla takiej uchwały należałoby zwołać na radę wszystkich mieszkańców, że to kwestya zbyt poważna, Ostrów bowiem, miasto, liczące około 10 tysięcy mieszkańców, nie ma ani własnej szkoły, ani szpitala, a ma już cerkiew wojskową, wystarczającą zupełnie na potrzeby (w liczbie 100.000 ludności cywilnej) powiatu ostrowskiego jest zaledwie 90 osób prawosławnych), Spiridonow krzyknął na niego, używając słów, nie nadających się tu do powtórzenia, kazał go natychmiast aresztować i trzymać dopóty, dopóki nieszczęsny ławnik nie przeprosi go za »obrazę« (tak!) i nie podpisze protokołu. Odniosło to skutek. Aresztowany ławnik, słaby starzec, uląkł się zemsty naczelnika i protokół podpisał. Okazało się potem, że naczelnik, który mówił o 2000 rubli, w protokole napisał 4000! Ławnicy podpisywali, nie czytając, a potem, dowiedziawszy się, jak rzecz stoi, wzięli się za głowę. Następnie pan naczelnik wzywał obywateli miasta, każdego z osobna, do swej kancelaryi i kazał im podpisywać uchwałę. Zaczął od żydów, skończył zaś na katolikach, gdy zaś wielu ostatnich

odmówiło swego podpisu, kazał położyć burmistrzowi i sekretarzowi paręset podpisów »za niegramotnych« (za niepiśmiennych)!

Oto, jakim sposobem zrodziła się uchwała »dobrowolna« mieszczan ostrowskich. Podany tu przebieg sprawy jest najściślej zgodny z prawdą, otrzymałem bowiem relacyę od osoby, stojącej bardzo blisko całej tej historii. Podobno wśród mieszczan ostrowskich panuje ogromne wzburzenie, niewątpliwie jednak nikt się nie odważy wystąpić ze skargą przeciw nadużywającemu swej władzy naczelnikowi. Tymczasem p. Spiridonow dostanie order za to, że pod jego kierunkiem rozwinęły się w Ostrowi wyrażenia uczucia wiernopoddańcze i życzliwość dla prawosławia. Możliwą jest wszakże rzeczą, iż sprawa ta będzie źródłem jego zguby, o ile za duży odsetek zechce sobie przywłaszczyć ze zdobytej sumy.

Obok administracyi nie próżnuje i nasza żandarmerya prowincjonalna. Do wiadomości ogółu dochodzą zaledwie głośnie procesy polityczne, prowadzone w cytadeli warszawskiej i niejednemu może się zdawać, że żandarmi na głębokiej prowincyi nie mają nic do roboty. Tymczasem tak nie jest. Przypadkiem wpadł mi w ręce wykaz spraw, roztrząsanych przez żandarmeryę w rozmaitych powiatach. Okazuje się, że w obecnym spokojnym czasie bywa 15—20 przestępstw politycznych w ciągu półrocza w każdym powiecie. Czyni to w całej guberni do 300 spraw rocznie. »Przestępcami« są prawie wyłącznie chłopi i mieszczenie — około 2^o/₁₀ tylko przypada na inne warstwy.

Rolnik.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

Poznań, 27 września.

Zajściu w Opalenicy. — Zakazy śpiewania pieśni narodowych — Walka hakatystów z księżmi. — Fundusz Kościuszkowski.

Pisma tutejsze, polskie i niemieckie, poświęcają całą szpalty zajściu w Opalenicy, które hakatyści ochrzcili mianem »polskiego buntu«. Podczas przejazdu ks. arcybiskupa, towarzystwa polskie i liczne gromady ludu z pozwolenia władzy zebrały się przed dworcem, żeby powitać arcybiskupa i otrzymać błogosławieństwo. Kiedy tłum stał w zwartej masie w pobliżu dworca, z miasta nadjechał komisarz obwodowy v. Carnap i pędem wpadł pomiędzy ludzi, wołając, jak zeznają świadkowie: *Verfluchte polnische Schweinebande, was habt ihr hier?!* Ktoś z tłumu zatrzymał konie, a gdy p. komisarz rzucił się na śmiałka, obalono go na ziemię i zbito mocno pochodniami. Carnap, wyrwawszy się z rąk ludzi, którzy go bili, uciekł, ale wkrótce zjawił się znów z obnażoną szpadą, bez czapki, i chciał koniecznie zobaczyć arcybiskupa, o którego wypytywał się w sposób brutalny, krzycząc: *Wo ist der Kerl? Wo ist der Erzbischof* i wyklinając *verfluchte polnische Bande mit eurem verfluchten Pfaffen*. Zobaczywszy żandarma, Carnap zawołał go i zażądał, aby na jego odpowiedzialność strzelał do tłumu, ale, ma się rozumieć, żandarm tego wezwania nie posłuchał. Naczelnik stacyi, Niemiec, nie chciał wpuścić Carnapa na peron, ale kiedy arcybiskup wsiadł już do wagonu, awanturnik wpadł na stacyę, i biegł wzdłuż pociągu, krzycząc, że chce zobaczyć arcybiskupa i zapytać go, czy ma władzę pozwalania tym »łajdakom« robić, co im się podoba.

Opisuję tę awanturę według ogłoszonych zeznań świadków, zupełnie zgodnych w głównych punktach. Dodać trzeba, że Carnap, który należy do hakatystów, przed awanturą pił w towarzystwie swych przyjaciół i wygrażał Polakom, wolno

więc przypuszczać, że umyślnie wywołał zajście, które niestety dla niego wypadło i zapewne niezbyt pomyślnie się skończy. Arcybiskup, po powrocie do Poznania, zawiadomił natychmiast o wszystkim prezesa regencyi, który nakazał przeprowadzić śledztwo szczegółowe w tej sprawie.

Dzienniki niemieckie, zwłaszcza hakatystowskie, z powodu tej awantury rozpięły się szeroko o zuchwalstwo Polaków, które dla spokoju państwa musi być poskromionem. Carnap jest dla nich ofiarą niewinną polskiej przewrotności, Tymczasem pisma nasze ogłosiły dawne jego awantury, świadczące, że niejednokrotnie jako urzędnik dopuszczał się czynów brutalnych, a o niektórych sprawkach wspomniały tylko ogólnikowo, bo przyzwoitość opisywać ich nie pozwala.

Jakkolwiek Carnap sam awanturę wywołał i zapewne ukarany za nią zostanie, odbije się ta sprawa nietylko na uczestnikach zajścia, ale i na całym bodaj społeczeństwie naszym. *Tageblatt* tutejszy donosi, że władza administracyjna wydała rozporządzenie, polecające surowo karać każdą polską demonstrację narodową, zaznaczając jednocześnie, że ludność katolicka ma prawo wyrażać swobodnie swe uczucia religijne i szacunek dla zwierzchności kościelnej. Ślusarz zawinił a kowala powiesili, bo przecie zajście w Opalenicy żadną miarą nie może być uważane za demonstrację narodową polską.

Niejednokrotnie pisaliśmy o nieuzasadnionych prawnie zakazach śpiewania patryotycznych pieśni polskich. Sprawa z zakazem pieśni »Jeszcze Polska nie zginęła« nie została dotychczas należycie wyjaśnioną. Twierdono, że chodzi tu tylko o przeróbkę socjalistyczną. Istotnie, sprawa była w sądzie z powodu tej przeróbki, ale wyrok mówi ogólnie o pieśni p. t. »Jeszcze Polska nie zginęła« i niewątpliwie władze administracyjne w tem rozszerzonym pojmowaniu stosować go będą. Niedawno starszy prokurator aż w prowincyi nadreńskiej zawiadomił miejscowe władze policyjne o zakazie śpiewania naszej pieśni.

Przed tutejszą izbą karną stanęło w tych dniach pięciu rzemieślników, oskarżonych o granie i śpiewanie »Boże coś Polskę« i »Z dymem pożarów«. Hymny te nie są zakazane, ale policja poznańska zabroniła ich śpiewania podczas zabawy »Wianków«, urządzonej przez towarzystwo »Stella«, a raczej udzieliła towarzystwu pozwolenia pod warunkiem, że się do jej żądania zastosuje. Tymczasem podczas zabawy tysięczny tłum, zgromadzony nad brzegiem Warty, zaśpiewał niespodziewanie — jak zeznał komisarz Marschall — hymn »Boże coś Polskę«. Oskarżeni, którzy wówczas znajdowali się w łódce, grać zaczęli tę samą melodyą na trąbach. Okazało się jednak z badania świadków, że oskarżeni grali nietylko polskie melodie, ale i marsze niemieckie i że jeden z nich jest nawet Niemcem rodowitym. Zakaz policyjny nie obowiązywał ich, bo nie byli członkami towarzystwa »Stella«. Sąd wszystkich od odpowiedzialności uwolnił.

Walka hakatystów z księżmi nie ustaje. Ks. Choraszewskiego z Bydgoszczy oskarżyli Niemcy katolicy, że forytuje polaków, bo w kościele w którym były kazania niemieckie, zaprowadził teraz i kazania polskie. Chociaż ks. Choraszewski chodził na festyny niemieckie i należał nawet do różnych komitetów — nie uchroniło go to od napaści, w dodatku zgoła nie słusznej, bo kazania polskie zaprowadzone zostały czasowo, z powodu restauracyi drugiego kościoła.

Czasem te napaści stają się po prostu śmiesznymi, jak na przykład w sprawie księdza G... z Wielichowa. Księdza tego, b. nauczyciela religii w gimnazjum Maryi Magdaleny w Poznaniu, wielce zasłużonego w epoce »Kulturkampf« oskarżył jakiś nauczyciel, że podczas wizyty arcybiskupa wymagał, żeby pani nauczycielowa, rodowita Niemka, wło-

żyła na głowę czepiec, jaki noszą kobiety polskie. Jak tam z tym czepcem było — niewiadomo. Okazało się jednak po sprawdzeniu, że nauczycielowa jest z urodzenia Polką. Niemieckie pisma z powodu owego czepca głośny krzyk podniosły, upatrując w żądaniu księdza straszną obrazę narodowości niemieckiej. Zabrał głos w tej komicznej sprawie i *Kuryer poznański*, który nie lubi tego typu księży, jak dziekan G..., więc zasłużonego kapłana postarał się ośmieszyć.

Co do owych czepków, to między nami powiedziawszy, ks. dziekan G. trochę za energicznie tę sprawę forsuje. Oto uwziął się on na to, aby wszystkie parafianki, nawet miejskie obywatelki, które mają pretensje do kapeluszy, zawsze w domu i na ulicy i w kościele w czepkach się pokazywały. Gdy którą bez czepka zobaczy, zaraz, choćby i na ulicy daje jej wyговор. Że to się nie wszystkim paniom podoba, łatwo sobie wytłomaczyć.

Ma się rozumieć, wiadomość o słabostce ks. G. jeżeli nie jest od a do z fałszywą, to jest mocno przesadzoną. Organ partyi dworskiej i arcybiskupa z przekąsem i drwinami mówi umyślnie o księdzu, który jest ozdobą naszego duchowieństwa.

Dziennik poznański przypomniał sprawę funduszu imienia Tadeusza Kościuszki. Fundusz ten zbierać zaczęto w setną rocznicę powstania kościuszkowskiego i zebrano dotychczas zaledwie 11,000 marek. Od półroka składki prawie zupełnie ustały. Odsetki od funduszu mają być podzielone: jedną połowę otrzymywać będą czytelnicy ludowe, drugą przeznaczono na wsparcia dla kształcącej się młodzieży. Zaniechanie dalszych składek skompromitowałyby — zdaniem *Dziennika* — patryotyzm wielkopolski i ubliżałyby pamięci Kościuszki. Zwraca się więc do ludzi zamożnych, a przede wszystkim do kobiet, żeby zbierały datki. Obie instytucje, na które isć mają odsetki od funduszu, są bardzo pożyteczne i bardzo zasłużyły, a powiększanie ich dochodów zwyczajną drogą bardzo wątpliwem, zarówno więc dla uczczenia pamięci Kościuszki, jak i dla dopomożenia im, należałoby zająć się gorliwie zbieraniem funduszu. Zaznaczyć trzeba, że dotychczas 7 czy 8 kobiet złożyło dopiero ofiary, a jedna tylko s. p. Emilia Szaniecka hojnie fundusz kościuszkowski obdarzyła z życzeniem: »oby się rozgrzał chłód rodaczek«.

J. M.

== *Ciekawy wyrok.* Ściśła bezstronność sądów pruskich, która niegdyś weszła w przysłowie, należy już do przeszłości. W ostatnich latach w sprawach pomiędzy Niemcami i Polakami lub przez władze przeciw Polakom wytaczanych, a mających odcień polityczny, sądy niejednokrotnie wydawały wyroki, będące naciąganiem lub nawet wyraźnym pogwałceniem prawa i sprawiedliwości.

Do tej kategorii należy wyrok, wydany przez izbę karną w Grudziądzu, w sprawie redaktora miejscowego *Geselligera*, Fischera, oskarżonego o obrazę ks. prałata Połomskiego z Wąbrzeźna.

Geselliger w korespondencyi z Wąbrzeźna przedstawił ks. Połomskiego, jako »polskiego agitatora« i przytoczył nieprawdziwy fakt, że ksiądz groził odmówieniem spowiedzi tym parafianom, którzy posyłają dzieci swoje do ochronki, zostającej pod kierownictwem dyakoniski protestanckiej z Gdańska. Ks. Połomski uczył się tem obrażony, ponieważ zarzucano mu przekroczenie władzy kapłańskiej, wniósł więc skargę do prokuratury, która wytoczyła redaktorowi pisma niemieckiego sprawę o obrazę publiczną. Na sądzie prokurator żądał skazania Fischera na 300 marek kary pieniężnej lub 30 dni aresztu.

Sąd uznał obiektywnie istnienie obrazy, dodał nawet w motywach wyroku, iż Fischer miał świadomość, że twierdzenie jego jest obrażającym, pomimo to uwolnił obwinionego od odpowiedzialności, uznał bowiem, że w danym wypadku zastosować należy § 193 kodeksu karnego, głoszący, że tego rodzaju wykroczenia, spełnione »w obronie uprawnionych interesów« karze nie podlegają. Zdaniem gruczydzkiej izby karnej do postępku Fischera stosuje się ten paragraf z trzech względów. Naprzód wolno każdemu Niemcowi przeciwdziałać prawnie dozwolonymi środkami agitacji polskiej; powtóre oskarżony Fischer należy do stowarzyszenia »krzewienia niemieczyny na kresach wschodnich«, którego celem jest odpieranie zamachów polskich; po trzecie jest on przedstawicielem *Geselligera*, pisma, poświęconego obronie interesów niemieckich. Oskarżony, pisząc inkryminowany artykuł, spełnił tylko swój obowiązek kierownika pisma. Nietylko ks. Połomski, ale nawet prokurator wnoszą podanie o rewizję tego wyroku do trybunału rzeszy w Lipsku. Zobaczmy, czy *il y a des juges à Leipzig*.

Dodać trzeba, że właśnie rok temu izba karna w Gdańsku w procesie o obrazę prokuratora elbląskiego i zarządu seminaryum nauczycielskiego w Kościerzynie, nie zastosowała § 193 do p. Milskiego, redaktora *Gazety gdańskiej*, dlatego, że uznała wydawane przez niego pismo jako *staats feindlich*. Interesy polskie nie mogą być »uprawnione« i p. Milski zapłacił 500 marek kary. Co innego interesy niemieckie — bronić ich wolno nawet za pomocą »świadomie popełnianych« — jak sam sąd uznał — wykroczeń

Z GALICJI.

Lwów 28 września.

Nowość konstytucyjna. Reskrypt p. Laskowskiego. „Nałóg agitacyjny“. Mandat bez posła. Wieć duchowieństwa w Krakowie. Proces o ruble. Zjazd ruskich radykałów. Zapowiedź nowego stronnictwa.

Kiedy przed kilku tygodniami rozeszła się wieść o rzekomym zamierzonym przez rząd zawieszeniu na czas wyborów w Galicji ustaw, zapewniających swobodę prasy i wolność zgromadzeń, opinia publiczna jednomyślnie prawie uznała to za rzecz niemożliwą, a pisma konserwatywne z uśmiechem politowania dla łatwości innych dzienników przeszły nad sensacyjną pogłoską do porządku dziennego. Okazuje się jednak, że wieść ta nie była zupełnie bezpodstawa. Niema wprawdzie i dziś mowy o formalnym zaprowadzeniu »małego stanu wyjątkowego«, bo taka bagatela wymaga wyłómaczenia i usprawiedliwienia przed parlamentem, a wobec braku faktycznej potrzeby nadzwyczajnych zarządzeń, skompromitowałaby tylko ministrów »rodaków« w oczach obcych i swoich niemniej wszakże mnożą się fakty, świadczące, że »stępniony zmysł moralny u rządu« — mówiąc słowami autora niewesołych »Doświadczeń i niegłębokich »Rozmyślań« — zaczyna się zaostrażać. Dowodzą tego z jednej strony coraz to liczniejsze i częstsze konfiskaty pism opozycyjnych, nie-zachowawczych, z drugiej zakazy odbywania zgromadzeń, stosowane ostatnimi czasy nawet do poselskich sejmików relacyjnych, a sztychające jawnie z kardynalnych zasad, obowiązujących w państwie konstytucyjnym.

Posel powiatu krakowskiego, Franciszek Wójcik z Wyciąż, należący, jak wiadomo, do najruchliwszych członków klubu ludowego w sejmie, postanowił zdawać wyborcom swoim sprawę z ubiegłej sesji sejmowej w każdej parafii, »aby wiedzieli wszyscy wyborcy i prawyborcy, co się uchwała na ich korzyść lub niekorzyść w ciele ustawodawczem«. Odbił też kilka takich zgromadzeń, choć ze strony niższych

organów rządowych nie oszczędzono mu najrozmaitszych przeszkód i szykan, krępujących nawet wolność osobistą — gdy atoli chwalebny swój zamiar chciał przeprowadzić do końca i o dalszych zgromadzeniach w myśl ustaw wiadomił władzę, kierownik starostwa, delegat namiestnictwa w Krakowie, radca dworu Laskowski zabronił mu tego reskryptem, w którym, twierdząc, że p. Wójcik na sejmikach relacyjnych »w błąd wprowadza ludność«, a występy jego »mogą wywołać waśń społeczną, gdyż poruszają warstwy przeciw sobie«, »zagrożają dobru powszechnemu« oświadczył, że »zresztą odbyte już zgromadzenia zupełnie wystarczyły do złożenia sprawy z czynności poselskich wyborcom«.

Posel Wójcik zaprotestował przeciw temu zakazowi rekuresem, wniesionym do namiestnictwa, — wykazał w nim, że wszystkie twierdzenia reskryptu polegają »na stronniczej i fałszywej denuncjacji«, nadmieniał, że obowiązek zwoływania sejmików parafialnych włożyli nań sami wyborcy i zakończył trafną uwagą: »gdyby mi zaś władza i nadal zakazywała składania sprawozdań, to nie do mnie właściwie będą mieli nieufność, ale do władzy, a zresztą lud sądzi chłopskim rozumem, dlaczego się to dzieje... Rekurs pozostał dotąd bez odpowiedzi.

Zakaz, wydany przez del. Laskowskiego, ma znaczenie zasadnicze, usiłuje bowiem poddać działalność poselską samowolnej ocenie wykonawczych organów rządowych, wprowadza więc zasadę nową, z duchem ustroju konstytucyjnego wprost sprzeczną i nawet w Galicji dotąd nie praktykowaną. W pojęciu instytucji poselstwa mieści się nietylko czynny udział obdarzonej zanfaniem ogółu jednostki w pracach sejmku czy parlamentu, ale i zdawanie sprawy z tego udziału wyborcom. Jedno i drugie jest niewątpliwem prawem i obowiązkiem posłów, a sposób, w jaki z tego prawa korzystają, względnie obowiązek ten spełniają, zawisł wyłącznie od ich własnego uznania i sumienia, podlegać zaś może tylko opinii publicznej, moralnemu sądowi wyborców. Stosunek ten jest z natury swej ściśle dwustronny, między posłem a wyborcami dla nikogo trzeciego miejsca niema, najmniej zaś dla funkcyjaryuszy rządowych, których rola w tym wypadku musi pozostać bierną, jeżeli wogóle może być mowa o niej w normalnym biegu, konstytucyjnego życia. Tak dotąd przynajmniej było też u nas w Galicji, a wątpliwą zasługę wprowadzenia nowego systemu mieć będzie del. Laskowski, który przez długi czas cieszył się sławą taktownego urzędnika i stawiany był nawet niedawno w rzędzie kandydatów do godności namiestnika galicyjskiego zamiast ks. Sanguszki. Zaden starosta nie śmiał dotąd przeszkadzać posłowi w jawnym zetknięciu się z wyborcami, co najwięcej, wolno mu było rozwiązać zgromadzenie, jeśli zagrażało spokojowi lub porządkowi publicznemu. Ten sam środek przysługiwał i delegatowi namiestnictwa w Krakowie. Na domiar, jeżeli mowy, jakie p. Wójcik na sejmikach wygłasza, są rzeczywiście dla dobra powszechnego niebezpieczne, jeżeli starosta twierdzi, że się o tem przekonał, toć rzeczą najprostszą pociągnąć winnego do odpowiedzialności sądowej i wykazaćszyć prawdziwość faktów, użyć skać nań wyrok skazujący. I w takim razie atoli wykonawca władzy rządowej nie może odebrać posłowi prawa porozumiewania się z wyborcami, bo nie on mu to prawo dał, argument zaś, że starosta uważa dalsze sejmiki za zbyt liczne, w inteligentnym społeczeństwie co najwyżej tylko zdolny jest ośmieszyć powagę władzy, nigdy natomiast do jej podniesienia się nie przyczyni.

Nie wiadomo, jak namiestnictwo rozstrzygnie sprawę, to pewna, że sam fakt wydania podobnego reskryptu jest wymowną ilustracją obecnych stosunków publicznych w Galicji. Reskrypt ten w dodatku obraża nietylko zasadę, ale i osobę posła, — zarzucając mu bowiem, bez stwierdzo-

nych dowodów, że »w błąd wprowadza ludność«, mieści w sobie, — jak słusznie zauważyła *Nova Reforma* — obelgę, za którą się odpowiada przed sądem karnym. Nie byłoby wcale dziwnem, gdyby p. Wójcik i na tej drodze chciał szukać satysfakcyi. Analogiczny wypadek, choć w grze była »mniejsza ryba«, wydarzył się przed kilku miesiącami, a najwyższy trybunał kasacyjny w Wiedniu, o który się sprawa w końcu oparła, orzekł wyraźnie, że przepisom karno-sądowym — nietylko, jak dotąd, dyscyplinarnym — »podlegają także organy władz, o ile dopuszczają się podczas pełnienia służby lub urzędowania przekroczeń ogólnego kodeksu«... »Okoliczność — czytamy dalej w tem orzeczeniu najwyższego trybunału, — że słowna obraza honoru popełniona została ze strony publicznego organu podczas wykonywania służby lub urzędowania, jest owszem obciążającą okolicznością przy wymiarze kary«... Te same znamiona czynu i w niniejszym wypadku istnieją.

Nadmienić wypada, że interpelacya ustaw zasadniczych, zainaugurowana przez starostę krakowskiego zaczyna już zarażać i innych dygnitarzy powiatowych. Wkrótce potem ofiarą podobnego zakazu padł również przemyski poseł sejmowy, Nowakowski, z obozu ruskich radykałów, ten sam, którego, jak donosiliśmy niedawno, komisarz starostwa bez najmniejszego powodu kazał aresztować. Zakaz przemyskiego starosty jest tylko treściwszy i oryginalniejszy jeszcze przez to, że nie wdając się w przytaczanie szczegółowych motywów, stwierdza jedynie „*sposób nałogowo agitacyjny*“ (sic), w jaki wspomniany poseł takie wiece urządza i bezwzględnie wyrokuje, że to »zagraża porządkowi społecznemu, a tem samem ogólnemu dobru i bezpieczeństwu«...

Na razie niema jeszcze powodu przypuszczać, że wspomniane rozporządzenia starostów uzyskają wyższe *probatur*. Gdyby się atoli tak stało, jak w szczególności pragną tego moralnie zbankrutowani przywódcy galicyjskich zachowawców, to możnaby się spodziewać w czasie wyborów niespodzianek, o jakich się dotąd nikomu nie śniło. W wieńskiejskiej Izbie posłów, którą na 1 października zwołano, sprawa reskryptów starościńskich będzie niewątpliwie poruszona. Czy jednak głos silnego protestu wyjdzie z ław koła polskiego, tej »wielkiej reprezentacyi wielkiego kraju«, powołanej w pierwszym rządzie do energicznej obrony praw obywatelskich, konstytucyjną i samorządem zapewnionych, na to pytanie z góry odpowiedzieć, niestety — trudno, a wątplić można nie bez podstawy.

W drugiej połowie października odbędą się wybory do rad powiatowych w 31 powiatach. Mają one w tym roku, jak już kilkakrotnie wspominaliśmy, znaczenie wyjątkowo doniosłe, po raz pierwszy bowiem należycie zorganizowany lud wiejski zapowiedział swój czynny i świadomy współdziałanie przy tych wyborach, a wszystko przemawia za tem, że wykonana swą zapowiedź z całym zapałem i siłą, na jakie zdobyć się może stronnictwo młode, nie mające politycznych konszachtów. Zdrowy sąd o tych wyborach wydaje *Pogoń tarnowska*. »W sprawozdaniach wydziału krajowego czytamy niejednokrotnie, że na kwestyonaryusz jakiś wydziału kilka-naście, bo nawet kilkadziesiąt rad powiatowych odpowiedzi nie dało. Zatem wiele rad powiatowych śpi snem błogosławionych i nic nie robi lub bardzo mało. W wielu radach powiatowych panują nadto ogromne nieporządki. Mimo starań, aby sprawy takie nie nabierały rozgłosu, od czasu do czasu słyszy się o nich. To także fakty. W czasie wyborów ze wszystkich stron słychać narzekania, że rady powiatowe stają się siedliskiem partyjnej agitacyi, że urzędnicy do czego innego wybrani i za co innego płatni, agituja w interesie pojedynczych osób. Niema więc najmniejszych podstaw do zachwycania się działalnością wielu rad powiatowych, czego dowodem z jednej strony okrzyk »Precz

z radami powiatowemi«, z drugiej projekt konserwatystów, aby rady te znieść i zamienić w »bajraty« przy c. k. starostwach. Jeżeli w tych warunkach lud powiedział, że z rad powiatowych może być jeszcze znaczny pożytek, byle inny duch w nich zapanował, byle bezczynne królikowanie w powiecie przemieniło się w usilną pracę dla dobra powiatu, to do zwalczania takich zamysłów niema podstaw. Ogólna wrzawa podniesiona z tego powodu, że chłopci postanowili wybierać tylko chłopów, jest bezzasadna, bo żaden oświecony właścianin nie ma wstrętu do surdutowca czy kontuszowca, szersze sprawie ludowej oddanego, jest zarazem i śmieszna, bo gdyby nawet chłopci takie hasło sobie wydali, mają po swej stronie zupełne prawo, konstytucyjną autonomiczną zagwarantowane. Gdzież przepis, że chłopu nie wolno głosować tak, jak myśli, wybierać tego, kogo zechce.

»Dlaczego wybieranie chłopów przez chłopów ma być sianiem nienawiści, burzeniem porządku społecznego, skoro nie wymaga się ani od kuryi wielkiej własności, ani od kuryi wiejskiej, by ta w dowód braterstwa wybierała nie swoich wyłącznie ale dla zgody spokojnej np. kilku chłopów. Z góry powzięta obawa, że chłopci dostarczą radom powiatowym materiału gorszego, jest płonna, bo jakiż materiał wychodził dotąd z innych kuryj, skoro przeciw radom powiatowym powszechna obudziła się niechęć. Zresztą wobec ustawy jeden jest uczciwy sposób konkurencji z chłopami. Dostarczą chłopci słabego materiału na rajców, to niechże inne kurye wprowadzą do rad powiatowych same lumina talentu, pracowitości i uczciwości. Chłopci z pewnością będą pobici tą większością. Ale, zdaje się, nasi konserwatyści i reakcyoniści obawiają się konkurencji z takim materiałem, jakiego chłopci mogą dostarczyć i dlatego w imię patriotyzmu, porządku i Bóg wie czego, chcą właścianom kandydatów narzucać«...

Obok wyborów do Rad powiatowych rozpisano również na koniec października dodatkowe wybory do Sejmu dwóch nowych posłów ze Lwowa i jednego z Krakowa, nadto wybory uzupełniające z gmin wiejskich pow. sanockiego i z większych posiadłości obwodu czortkowskiego. Nic natomiast nie słychać o wyborze posła do Rady państwa z gmin wiejskich Złoczów-Przemysłany. Okręg ten od grudnia ubiegłego roku pozbawiony jest przedstawiciela w parlamencie, a prezydium Koła polskiego, nie wierząc snąć w pożądaną dla siebie wynik głosowania, nie raczyło upomnieć się dotąd u władz o krzywdę, jakiej z tego powodu powiat doznaje. To także szczegół charakterystyczny.

Poprzednim razem poświęciliśmy kilka uwag politycznemu zjazdowi księży, który się odbył w Przemyślu. Podobny zjazd urządziło duchowieństwo diecezji krakowskiej, a głównym przedmiotem narad była sprawa pisemek dla ludu i założenie stronnictwa katolicko-ludowego. Obrady miały charakter poufny, wyszły jednak mimo to na jaw w kilku interesujących szczegółach, które świadczą, że i wśród krakowskiego duchowieństwa istnieje zastęp księży, szczerze sprzyjających ludowi, umiejących odczuć prawdziwie potrzeby jego, a oburzonych niezaszczytną rolą, jaką w stosunku do właścian, zwłaszcza podczas wyborów, każe im odgrywać stronnictwa, stańczykowska polityka biskupów. Wprawdzie prezydium zjazdu w kilka dni później ogłosiło komunikat, mianem zdrajców piętnujący tych, którzy się ośmielili częściowy przebieg obrad podać do wiadomości ogółu, z treści wszakże i z tonu komunikatu wypływa niedwuznacznie, że ujawnione szczegóły w istocie zgodne były z prawdą.

Polityczny proces, jakiego dawno już w Galicyi nie było, toczył się przez kilka dni w Kołomyi. Mieszka tam i »działa« od dłuższego czasu adwokat dr. Włodzimierz F. Dudykiewicz, pamiętny ongi prezes »russkiej« *Bukowiny*

w Wiedniu, a liczący się obecnie do przywódców galicyjsko-ruskiego moskalofilstwa. Niestrudzona działalność tego apostoła, skierowana szczególnie ku nawracaniu młodzieży szkolnej i akademickiej, dała redaktorowi *Gazety Kołomyjskiej* p. Bohdanowi Mardyrosiewiczowi powód do ogłoszenia w ubiegłym roku kilku dosyć sensacyjnych artykułów, które na osobę dr. D. i na pobudki jego politycznej propagandy, niezbyt pochlebne rzuciły światło. I tak *Gazeta Kołomyjska* obwieściła światu, że dr. Dudykiewicz otrzymuje ruble z funduszu znanego *Błahotworiteliwno Komiteta*, że za te ruble dnia 12. lutego 1895 r. urządził wielki bal w sali kołomyjskiej kasy oszczędności, oraz kilkudziesięciu młodzianom ze Lwowa i z Czerniowiec opłacił podróż do Kołomyi, utrzymanie i pobyt na balu, dalej, że dr. D. urządził u siebie *jours fixes* i, z szczególną predylekcyą zapraszając na nie młodzież gimnazjalną, przerabia ją na »prawnych kacapów«, że daje biednym uczniom gimnazjalnym ruble w postaci stypendyów i zapomóg, że stara się młodzież gimnazjalną »kaptować dla swej sprawy argumentami gorącej natury«, że akademickiej młodzieży »za wiadome ustępstwa« obiecuje stypendya z funduszu wyżwspomnianego »Komiteta«, że wreszcie dr. D. brał udział w wigilii, urządzonej przez Adolfa Dobriańskiego w Wiedniu za ruble rosyjskie...

To ciągle zajmowanie się jego osobą, oburzyło wreszcie dr. Dudykiewicza do tego stopnia, że postanowił rozprawić się z p. Mardyrosiewiczem przed kratkami sądowemi. Interesująca rozprawa zakończyła się jednak w sposób, najmniej chyba przez oskarżyciela spodziewany. Po przesłuchaniu całego szeregu świadków, między którymi przesunęli się znany poseł sejmowy dr. Okuniewski, profesor uniwersytetu w Czerniowcach i poseł na sejm bukowiński dr. Smal Stocki, oraz dyrektor kołomyjskiego gimnazjum Skupniewicz, przedłożono przysięgłym 29 pytań, mianowicie 15 głównych i 14 dodatkowych, sędziowie przysięgli zaś po dłuższej naradzie na wszystkie pytania odpowiedzieli — nie. Na tej podstawie ogłosił trybunał wyrok uwalniający red. Mardyrosiewicza od oskarżenia, a skazujący dr. Dudykiewicza na zapłacenie kosztów procesu. Na rozprawie obecni byli sprawozdawcy pism galicyjskich i kilku wiedeńskich, nadto korespondent *N. Wremeni*. W skład trybunału, z wyjątkiem jednego członka, wchodziłi sami Rusini, to jednak nie przeszkodzi zapewne pismom rosyjskim gorszyć się »tendencyjnością« wyroku. Treść jego natomiast powinna być nagrodą, wymownym dowodem uznania dla redaktora *Gazety kołomyjskiej*, który — jak się sam przyznał — nie znając osobiście przeciwnika, przekonawszy się wszakże o jego szkodliwej robocie, w poczuciu publicystycznego obowiązku wystąpił śmiało przeciw propagandzie caryzmu.

Przez dwa dni obradował we Lwowie wolny zjazd ruskich radykałów. Przewodniczył mu poseł Okuniewski, wiceprezesami wybrano dr. Frankę i posła Nowakowskiego. Ze sprawozdania, jakie przedłożył dr. Franko, dowiedziano się, że organowi stronnictwa *Hromadzki Hołos* przybyło w ostatnim roku 200 nowych prenumeratorów, a pierwsze numera wydawnictwa *Biblioteki chłopskiej* rozeszły się w nakładzie 1500 egzemplarzy. Ruch radykalny — według sprawozdań delegatów — zapanował w przemyskiem, tarnopolskiem, zbaraskiem i w kołomyjszczyźnie, objawia się zaś w wiecach i petycyach do Sejmu. Na wniosek komisji »do spraw wyborczych« postanowiono, jako »ruska ukraińska partya radykalna« wziąć udział w najbliższych wyborach do Rady państwa i stawiać własnych kandydatów w kurii czwartej i piątej. W tym celu ma się zawiązać centralny komitet wyborczy i komitety powiatowe. Uchwalono też w braku własnych popierać kandydatów

innych stronnictw, zbliżonych przekonaniem do radykałów ruskich, a tylko moskalofilom i narodowcom odcienia Barwińskiego z zasady wszelkiego poparcia odmawiać.

W ścisłym, zdaje się, związku z stronnictwem radykalnym stoi odezwa, na zakończenie zjazdu wszystkim uczestnikom rozdana. Tytuł jej brzmi *Pokłyk do robotników Rusiniw*, a podpisali ją czterej znani kierownicy ruskiej partii radykalnej dr. Iwan Franko, M. Hankiewicz, dr. E. Lewicki i M. Pawlik, nadto czterej robotnicy, z których jeden, Borysławski niedawno na zgromadzeniu socjalistycznym publicznie wyznał, że... po rusku nie umie. Ale mniejsza o to. Odezwa nawołuje do utworzenia odrębnej ruskiej partii socjalno-demokratycznej, bo dotychczasowa galicyjska działa zanadto po polsku. »Przedstawimy tylko fakt taki — czytamy w odezwie — że socjalno-demokratyczną organizacyę w kraju wyzyskiwano dla patryotycznych celów polskich. Tak stało się z obchodem majowej konstytucji polskiej, kiedy to ruscy robotnicy musieli (dlaczego musieli? *Przyp. Red.*) brać udział w jubileuszowym obchodzie tego aktu, który miał odrodzić historyczną Polskę — tak było na zjazdach w Paryżu i Zurychu, kiedy to delegat ruskiej części Galicyi wygłosił program »wolnej polskiej Rzeczypospolitej« — tak było w r. 1892, kiedy to przewodnik socjalnej demokracji na kongresie lwowskim, tu na ruskiej ziemi, oświadczył, że my socjalno-demokratyczni robotnicy, mamy pójść kiedyś w bój za odbudowanie państwa polskiego. A już koroną międzynarodowości polskich socjalistów było podpisanie na tegorocznym kongresie w Londynie, przez delegatów wschodniej Galicyi, żądania odbudowania Polski siłami międzynarodowego proletaryatu«. W dalszym ciągu dziwnych pretensyi do Polaków, autorowie *Pokłyku* obiecują »wystąpić otwarcie przeciw patryotycznym dążeniom polskiej partii robotniczej«...

*Gdyby takie enuncyacye — pisze *Kuryer Lwowski* — nie miały iść na karb czysto indywidualnego, chorobliwego zapatrywania, to z ustępów przytoczonych z odezwy ruskiej socjalnej demokracji wynikałoby tylko, iż niema ani jednego stronnictwa ruskiego, z któremby Polacy zgodnie iść mogli«. Jestto znamienem potwierdzeniem zdania, któreśmy niedawno wyrazili. Polityczna naiwność ruskich »prowodyrów« nie pozwala zresztą oceniać świeżego ich wystąpienia tragicznie lub poważnie. Zakładają osobne stronnictwo socjalistyczne ruskie, więc najwyraźniej uznają potrzebę narodowych dążności nawet wśród socjalnej demokracji — równocześnie odmawiają tego samego prawa Polakom. Logice stało się zadość!

Prawdźic

Z KRESÓW.

Cieszyn we wrześnieu.

Rezultaty ostatnich wyborów do sejmu. Patryotyzm zaśeiankowy „łyków“ miejskich. Przyszły sejm. Widoki na przyszłość. Polskie towarzystwo pedagogiczne w Cieszynie. Łączność nauczycieli śląskich z galicyjskimi. Żywiec i Biała. Gimnazya prywatne.

Odbyte w pierwszej połowie b. m. wybory do sejmu śląskiego dały rezultaty, jakich należało się spodziewać. W kurii gmin wiejskich utrzymali się dotychczasowi nasi posłowie narodowi, miasta wybrały liberałów niemieckich. W powiatach cieszyńskim, frysztackim i jabłonkowskim ks. »monsignore« Ignacy Świeży otrzymał głosów 174, p. Jerzy Cienciąła, rolnik z Mistrzowic, głosów 205. Partya liberalna postawiła w tym okręgu pp. Michudka z Żywocic i nauczyciela Szyguła z Puńcowa, z których pierwszy otrzymał głosów 66 a drugi 37. Wszystkich głosujących było 245. W powiatach bielskim, skoczowskim i strumińskim na

159 głosujących dr. Jan Michejda otrzymał 90 głosów, kandydat niemiecko-narodowy pastor Pustówka z Międzyrzecza miał głosów 38, zaś liberał Pelar z Drogomyśla tylko 31 głosów. W powiatach frydeckim i bogumińskim na 181 głosujących przypadło dr. Wacławowi Hrubemu głosów 141, resztę 40 głosów otrzymał liberał Pitrzik z Bruzowic.

Z zestawienia tych liczb wypada, że w księstwie Cieszyńskiem oddano wogóle głosów 585, z czego na kandydatów połączonego stronnictwa polsko-czeskiego przypada głosów 404, czyli 69%. W poszczególnych okręgach stosunek procentowy głosów polsko-czeskich do ogółu głosów stanowił: w okręgu cieszyńsko-frysztacko-jabłonkowskim 77%, w okręgu bielsko-skoczowsko-strumińskim 55%, w czesko-polskim zaś okręgu bogumińsko-frydeckim bez mała 78%.

W porównaniu z poprzednimi wyborami w r. 1890 daje się zauważyć pewien przyrost głosów za kandydatami narodowymi, co wszakże przypisać należy nie tyle popularności naszych posłów dotychczasowych, ile szerszemu się powoli lecz stopniowo uświadomieniu politycznemu ludu naszego. Trudno ukrywać, że lud wiejski, zwłaszcza uboższy, coraz mniej żywi zaufania ku dotychczasowym swoim reprezentantom, lecz tyle jest dojrzały i tyle karny, że woli głosować na posłów narodowych, aniżeli się usuwać od głosowania lub wybierać kandydata partii liberalnej, która coraz bardziej bankrutuje, jak gdzieindziej, tak najmniej i tutaj. I tak nie ulega wątpliwości, że między głosującymi na posłów narodowych znajdowało się sporo zwolenników ks. Stojałowskiego, a nawet pewna ilość socjalnych demokratów, zwłaszcza w okolicach górniczych. W Darkowie np. przy prawyborach wybrano 3 socjalistów, którzy w pierwszej chwili nie chcieli głosować na ks. Świeżego i p. Cieciałkę, ale po namyśle, w braku własnego kandydata, woleli oddać swe głosy im, aniżeli liberałom.

Pisma tutejsze polskie nazywają tegoroczny rezultat wyborów »świetnem zwycięstwem na całej linii«, co do pewnego stopnia usprawiedliwione jest potrzebą wiania otuchy w serca ludu wiejskiego, dodania mu odwagi do zapasów przy wyborach do Rady państwa w roku przyszłym. My jednak na tem miejscu nie potrzebujemy ukrywać, że zwycięstwo to było tylko utrzymaniem dotychczasowego *status quo*, czego przeceniać nie należy, bardzo bowiem być może, że zwycięstwo to będzie ostatniem, a wynik przyszłych wyborów może być mniej korzystnym dla stronnictwa narodowego.

Najlepszym dowodem, że zwycięstwo to nie odbyło się »na całej linii«, są wybory z kuryi miejskiej. W Cieszynie zwyciężył liberał niemiecki dr. Bukowski 629 głosami kandydata niemiecko narodowego Tomanka, który otrzymał głosów 136 i kandydata polskiego dr. A. Dyboskiego, który dostał tylko 93 głosy. W Bielsku z 598 oddanych głosów znany polakożerca dr. Haase, superintendent ewangelicki, otrzymał 589, co dowodzi aż nadto wyraźnie, że to, graniczące z Galicyą, miasto fabryczne pozostanie jeszcze długie lata niemiecką wyspą, o której spolszczeniu próżno teraz marzyć. Ale nie lepiej stoi sprawa polska w takich miasteczkach, jak Jabłonków, Skoczów i Strumień, których ludność jest niemal wyłącznie polską. Snutny tego dowód dały ostatnie wybory: Kandydat niemiecko-liberalny Zwilling na 492 głosujących otrzymał głosów 349, dotychczasowy poseł z tego okręgu dr. Michl, także liberał, dostał 133 głosy, polski zaś kandydat dr. Kreisel, znany na Śląsku patriota, otrzymał tylko 9 głosów! Jest to więc zupełna klęska, tym smutniejsza, gdy sobie przypomnimy, że przy poprzednich wyborach w r. 1890 kandydat narodowy Emanuel Buława otrzymał głosów 170. Nie znaczy to jednak wcale, aby stronnictwo narodowe cieszyło się wtedy więk-

szem poparciem w tych miastach aniżeli dzisiaj, ponieważ, co warto zaznaczyć, ów pan Buława był i jest narodowcem bardzo wątpliwej wartości, otrzymane zaś głosy pochodziły niemal wyłącznie od Jabłonkowień, którzy głosowali na niego nie dlatego, że postawiony został przez stronnictwo polskie, lecz jedynie dlatego, że był także Jabłonkowieńcem z dziada pradziada, kupcem-mieszczaninem i radnym miasta. Z tych samych pobudek w tym roku Jabłonkowień przegłosowali swego burmistrza Zwillinga, z tych samych pobudek Skoczewianie popierali swego współobywatela dr. Michla, notaryusza, który kandydował na własną rękę. Dowodzi to, że w miastach naszych decydującą odgrywa rolę patryotyzm zaściankowy, lokalny, że do szerszego zrozumienia spraw politycznych wśród naszych »łyków« małowia- steczkowych jeszcze bardzo daleko. W Cieszynie tym razem oddano głosów nieco więcej niż sześć lat temu, ale przyrost ten jest bez wszelkiego znaczenia wobec olbrzymiej a stałej od lat wielu przewagi głosów niemieckich. We Frydku, Frysztaście i Boguminie zwyciężył kandydat liberalny Komarek 375 głosami przeciwko kandydatowi polsko czeskiemu Skarabeli, który otrzymał głosów 283. Zwycięstwo liberała przeważał czesko-niemiecki Frydek 299 głosami, polski Frysztat dał 105 głosów Skarabeli a tylko 39 Komarkowi, co z przyjemnością zaznaczyć można, ponieważ dotychczas to miasteczko zajmowało dość chwiejne stanowisko, a nawet oddawało większość głosów na Niemców. Czy zwrot ten jednak okaże się trwałym, zapewnić nie można.

Wynik tych wyborów aż nadto dosadnie wykazuje nikłość naszych wpływów wśród tych sfer ludności miejskiej, które już obecnie posiadają prawo głosowania. Z 2600 (około) oddanych głosów w miastach ks. Cieszyńskiego, polskich głosów było zaledwie 207 czyli 7-8%.

W opawskiej części Śląska w kuryi wiejskiej utrzymali się ci sami posłowie czescy dr. Stratil i ks. Gruda, w trzech innych okręgach zwyciężyli narodowcy niemieccy i antysemita, tak więc w tem sześcioleciu kurya wiejska (9 posłów) nie wysłała ani jednego liberała, co można uważać za ostateczne bankructwo stronnictwa liberalnego wśród ludności wiejskiej. Kuryą miejską oprócz dwóch narodowców niemieckich z Karniowa i Opawy, reprezentować będą tylko liberali; przedstawicielstwo z Izby handlowej i z własności większej pozostało, rozumie się, i nadal w rękach niemieckich. Tak więc skład sejmu przyszłego pozostaje prawie taki sam, z tą tylko zmianą, że parę mandatów w opawskiej części przeszło z rąk liberałów do nacyonałów, co jest rezultatem tego ruchu antysemitckiego i antyliberalnego, jaki od pewnego czasu odbywa się w całej Austrii. Nie należy nam jednak do tego zjawiska przywiązywać zbytnej wagi, ani spodziewać się wielkich dla nas korzyści, ponieważ nacyonałowie niemieccy w sprawie np. równouprawnienia językowego zajmować będą tak samo wrogie stanowisko, jak liberałowie, co najwyżej — będą nieco powściągliwsi w zaznaczaniu swoich tendencji germanizacyjnych, co nawet okazać się może niebezpieczniejszem dla sprawy naszej przy znanej miękkości i chwiejności, jakie wykazujemy przy dobijaniu się o należne nam prawa.

Jak dotychczas, tak i na przyszłość, posłowie czescy i polscy (3 Czechów, 3 Polaków) będą w sejmie w mniejszości, i nic ważniejszego przeprowadzić nie zdołają, pomimo najlepszych chęci, jakie bez zaprzeczenia okazywali dotąd. Posłowie więc czesko-polscy przedewszystkiem dopominać się winni o zmianę ustawy wyborczej, przy jak najszerszem poparciu ze strony ludu, nad którym należy popracować usilniej i umiejętniej, aniżeli dotychczas, zwłaszcza po miastach. Należałoby goręcej zająć się jego wyszkoleniem politycznem przez stale urządzone wiece i zgromadzenia polityczne, przez utworzenie silnej organizacji politycznej, przez

odpowiednie wydawnictwa broszurowe i prasę peryodyczną, zastosowaną do potrzeb i wymagań chwili obecnej.

W poprzedniej korespondencji wspominaliśmy o ruchu, jaki zaznaczył się wśród nauczycielstwa śląskiego wogóle, Obecnie należy słów kilka poświęcić dość ważnemu faktowi, który w pewnym stopniu stwierdza, że i pomiędzy nauczycielami-Polakami odczuwać się daje niejaki zwrot ku lepszemu. Mówimy o założeniu polskiego Towarzystwa pedagogicznego, które odbyło się w dniu 5 września w Cieszynie. Dotychczas istniało tylko t. zw. *Kółko pedagogiczne* z siedzibą w Ustroniu, które liczyło bardzo mało członków i wpływ wywierało niewielki, acz w zakresie swoim pożyteczny. W tym roku, za inicjatywą nauczycieli ludowych z okolic Bielska, postanowiono rozszerzyć ramy swej działalności, wydano odpowiednią odezwę do nauczycieli, wykazując konieczność założenia takiego towarzystwa, które powinno połączyć nauczycielstwo polskie na Śląsku w pracy narodowej nad ludem, w jedno spójne ciało, ożywione jednym duchem.

W oznaczonym dniu zebrała się nadspodziewanie duża liczba nauczycieli z całego księstwa, wygłoszono parę mów, zachęcających do poparcia celów towarzystwa, wywiązały się dosyć gorące rozprawy, poczem zapisano na członków Towarzystwa 74 osób, które wybrały z pośród siebie zarząd z p. Jerzym Kubiszem na czele.

Życzyć wypada, aby świeżo powstałe Towarzystwo rozwijało się jak najpomyślniej, aby tak katolicycy, jak ewangelicy nauczyciele, porzuciwszy stronnicze i wyznaniowe waśnie, szli w jednym szeregu ku wspólnemu celowi. Towarzystwo to ma szerokie i doniosłe przed sobą zadanie: nauczycielstwo w ks. Cieszyńskim, wychowane w niemieckich seminarjach, po większej części jest obojętne a nawet wrogie dla sprawy narodowej i w tym duchu wychowuje działwę, opiecej swej powierzoną. Stanowi nauczycielstwo czynnik w życiu społecznym bardzo ważny, na który dawno już należało skierować uwagę.

Jednym z najważniejszych zadań nowego Towarzystwa będzie dopilnowanie sprawy, aby jak najprędzej założone zostało seminarjum nauczycielskie w Cieszynie, z językiem wykładowym polskim. Drugim z rzędu byłoby zawiązanie ściślejszych stosunków z nauczycielstwem galicyjskim dla wspólnej walki o potrzeby i interesy własne.

W ostatnich tygodniach rozeszła się po pismach polskich i niemieckich wiadomość o zamierzeniu w r. 1897 założeniu polskiego seminarjum nauczycielskiego w Żywcu, miasteczku galicyjskim, położonem tuż koło granicy śląskiej. Jeżeli przyjdzie ten zamiar do skutku, to zanim nie zostanie założone seminarjum polskie w Cieszynie, powinniśmy tu agitować za posyłaniem do niego naszych synów, zamiast do seminarjów niemieckich. Byłoby to ze wszech miar pożądanem i w skutkach bezwątpienia korzystnem. Byłby to sposób, o ile się zdaje, bardzo skuteczny na upór niemiecki i nie przedstawiający żadnych trudności praktycznych.

Ta kwestya nasuwa inną. Miasto Białą, stanowiące jakby jedno miasto z Bielskiem, a leżące jeszcze w granicach Galicyi, powinno już oddawna posiadać średni jakiś zakład naukowy. Otóż kto wie, czyby potrzeba było zakładać w Cieszynie polskie gimnazjum prywatne, gdyby taka Białą posiadała gimnazjum publiczne. Księstwo Cieszyńskie dostarczałoby aż nadto wielu uczniów, co stanowiłoby już niezbity dowód, że szkoła polska w Cieszynie koniecznie jest potrzebna, a już to samo, zwłaszcza gdyby istniał odpowiedni nacisk ze strony posłów galicyjskich, zmusiłoby rząd śląski do założenia gimnazjum polskiego. Tymczasem zaś, ponieważ sprawie tej nadano inny obrót i założono gimnazjum z funduszków składowych, na upaństwowienie jego możemy czekać długie jeszcze lata, a dotychczas

jeszcze nie doczekaliśmy się nadania mu prawa publiczności, bez czego nie posiada ono należytego znaczenia.

Brak właśnie prawa publiczności sprawił to, że w tym roku do pierwszej klasy zgłosiło się uczniów znacznie mniej, niż rok temu. Przyjęto wtedy przeszło 90, obecnie tylko 67 uczniów. Ostatecznie nie potrzebujemy się tem jeszcze martwić, tymbardziej, że do tejże klasy gimnazjum czeskiego prywatnego, założonego jednocześnie z naszym w Mistku, wstąpiło tylko 41, do niemieckiego we Frydku 47, a do gimnazjum prywatnego niemieckiego, założonego w tym roku w Morawskiej Ostrawie, do pierwszej klasy zaledwie 16 uczniów, co pozwala cieszyć się nadzieją, że niedługo ono żyć będzie. W tejże Ostrawie stowarzyszenie czeskie *Maticie Ostravska* otrzymała pozwolenie na otwarcie gimnazjum realnego, które wszakże otworzone zostanie dopiero w przyszłym roku. Nie możemy więc obecnie narzekać na brak zakładów naukowych.

E. Kania.

== *Ludność polska na Bukowinie.* Wiadomo powszechnie, że ludność polska na Bukowinie wzrasta, że ma tam swoich przedstawicieli w sejmie i radzie miejskiej w Czerniowcach, że wychodzi tam pismo polskie i są towarzystwa polskie, które na ogół rozwijają się bardzo dobrze. W ostatnich czasach poruszono sprawę zakładania szkół polskich na Bukowinie, o czem dawno już pomyśleć należało. Ludność polska w tym kraju jest dosyć zamożną, a właściwie sporo wśród niej jest ludzi zamożnych. Dane statystyczne, opracowane przez p. Borońskiego w *Nowej Reformie*, wykazują, że żywiół polski wzrasta i że posiada siłę liczebną, pozwalającą mu już wytwarzać instytucje własne.

Według spisu urzędowego Bukowina miała w r. 1890 646,591 mieszkańców na obszarze 10,441 kilometrów kwadratowych. Na jeden kil. kw. przypada więc 62 ludzi. Kraj tak zaludniony nie może przyjąć licznych imigrantów i rozprawianie o tem, że możnaby na Bukowinę skierować emigrację z Galicyi, jest złudzeniem, wynikającym z nieznamości stosunków miejscowych. Gęściej zaludniona Galicya może zapewne wysyłać i wysyła nawet w tym kierunku cząstkę wychodźstwa, ale ruch ten nie jest i nie będzie nigdy masowym.

Pod względem narodowym Bukowina przedstawia dziwną mieszanię. Panującym jest żywiół niemiecki, do którego zaliczono 20 78% ludności. Właściwie jednak znaczną część t. zw. ludności niemieckiej stanowią żydzi, których w r. 1890 było 82.717, czyli 12,80%. Rumuni roszczą sobie obecnie prawo do pierwszeństwa, chociaż przedstawiają tylko 32,42% ludności. Najliczniejsi stosunkowo są Rusini, którzy tworzą 41,77% ogółu mieszkańców. Polaków było w r. 1890 3,68%, Madziarów 1,27%. Oprócz wymienionych narodowości mieszka na Bukowinie kilkuset Czechów i około 3000 tak zwanych Lipowanów, t. j. starowierców rosyjskich, którzy mają w Białej Krynicy swego archiereja. Taka sama różnaitość panuje pod względem religijnym. Katolików rzymskich było 81.962, unitów 10.424, ormian 560, ewangelików 13.225, starowierców 3011, żydów 82.717. Resztę ludności stanowili schyzmatycy w liczbie 450.773, oprócz 3.919 zapisanych do różnych, niewymienionych wyżej wyznań.

Ze względu na tę różnorodność żywiół polski, do którego należy sporo ludzi zamożnych i inteligentnych, może zdobyć większe znaczenie, niż mu jego siła liczebna zapewnia. Oprócz dopływu wychodźców galicyjskich z pewnością powoli do ludności polskiej zaliczać by się zaczęli żydzi, zwłaszcza w miejscowościach, sąsiadujących z Galicyą.

Zresztą żywił polski wzrasta liczebnie dosyć szybko. Na 1000 ludności przypadało:

	w r. 1880	w r. 1890	
Rumunów	334.3	324.2	— 10.1
Rusinów	421.6	417.7	— 3.9
Madziarów	17.4	12.7	— 4.7
Niemców	191.4	207.8	+ 16.4
Polaków	32.1	36.8	+ 4.7

Cyfrы te wykazują, że Bukowina germanizuje się powoli kosztem Rusinów i Rumunów, tylko ludność polska trzyma się odpornie. Gdyby Polacy posiadali chociaż część tych środków, którymi rozporządzają Niemcy, gdyby mieli własne szkoły, z pewnością wzrastałoby w większym jeszcze stosunku.

Główną siedzibą Polaków jest miasto Czerniowce, gdzie liczą ich 7610 na 54.170 mieszkańców, co stanowi 14% ogółu ludności. Po wsiach i miasteczkach i na obszarach dworskich mieszka 15.269 Polaków na 592,420 ludności, co stanowi zaledwie 2.60%. Zaledwie dwie gminy uważać można za polskie, w jednej zaś mają nasi nieznaczny przewagę.

Zasługuje na uwagę fakt, że stosunkowo najwięcej Polaków, spotykamy w powiatach, nie sąsiadujących z Galicyą, a więc głównie w rumuńskiej części kraju. Tak n. p. powiat Solka ma 6 92% ludności polskiej, Sadogóra 4.44%, Gurahumora 3.80%, Seret 3.22%, kiedy pograniczne powiaty Kocman i Zastawna mają tylko 1 81% i 2.16% ludności polskiej. Pochodzi to zdaje się ztąd, że rozproszony niewielkimi gromadkami żywił polski łatwiej traci odrębność narodową wśród pokrewnych Rusinów. W rumuńskiej części Bukowiny mieszkają Polacy zwykle większymi grupami, trzy gminy, o których wspomnieliśmy wyżej, znajdują się w powiatach Suczawa i Solka.

Rozbieżność ludności polskiej na drobne grupy utrudniać będzie zakładanie szkół własnych. W 126 miejscowościach mieszka mniej niż po 50 Polaków,

w 24 miejscowościach od	50 do	100
w 15	»	100 » 200
w 9	»	200 » 300
w 8	»	300 » 400
w 4	»	400 » 500
w 6	»	500 » 900

Oprócz Czerniowiec przynajmniej w 10 miejscowościach mogłyby już istnieć szkoły polskie, bo w każdej z nich jest przynajmniej od 60 do 135 dzieci polskich. Właściwie jednak wszędzie tam, gdzie mieszka razem przynajmniej 200 Polaków, a takich miejscowości jest oprócz wyliczonych 12, mogłaby się utrzymać i powinna być założona szkoła polska. Towarzystwo »Szkół ludowych« powinno jak najrychlej zająć się tą sprawą. Fundusze by się znalazły, nie trzeba tylko gromadzić kapitałów, ale obracać wpływy na wydatki bieżące. Ponieważ zamożni Polacy na Bukowinie z pewnością hojnie poparliby szkoły polskie, a znaczna część uczniów mogłaby wnosić pewną opłatę, zasiłek dodatkowy nie przekroczyłby sumy kilku tysięcy guldenów.

Zakładanie towarzystw ludowych i katolickich, które tyle usług oddały sprawie polskiej w zaborze pruskim, jest według ustaw austriackich dosyć trudnym, ale zupełnie możliwym, bo istnieją np. t. zw. »przyjaźnie«, które księża w Galicyi gorliwie popierają. Na tę sprawę zwrócić powinna uwagę *Gazeta polska* w Czerniowcach, która wytrwale i rozumnie broni interesów polskich w tej dzielnicy kresowej i dała już nieraz inicjatywę do pożytecznej działalności w duchu narodowym.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

== *Towarzystwa polskie w Westfalii.* Katolicy Niemcy niechętnie patrzą na powstawanie i rozwój towarzystw polskich w Westfalii. Chcieli oni koniecznie zmienić ustawy towarzystw naszych w ten sposób, żeby prezesem był z urzędu ksiądz, t. j. Niemiec. Udało im się przy pomocy franciszkanina, ojca Andrzeja, o którym kilkakrotnie pisaliśmy, niektóre towarzystwa opanować, większość jednak oparła się i pomimo wielu przykrości dzielnie wytrwała w oporze. Dużo nieprzyjemności w tej sprawie znieść musiał, ale też dużo zasług położył wychodzący w Bochumie *Wiarus polski*. Ks. Andrzej przegrał kampanię, zmierzającą do wzięcia w kluby Polaków. Teraz plan jego próbuje wykonać ks. Ritter, Niemiec. Wielu Polaków, zwłaszcza w miejscowościach, gdzie towarzystw polskich niema, należy do ludowo-katolickich towarzystw niemieckich, domagali się więc, żeby w bochumskim biurze ludowym był jeden sekretarz Polak. Dotychczas Niemcy odmawiali zadosyćuczynienia temu słusznemu żądaniu, teraz nagle zdanie zmienili, i chcą zwołać zebranie prezesów towarzystw w celu ustanowienia posady sekretarza. W ten sposób pragną wciągnąć towarzystwa polskie do swego związku. Ale towarzystwa polskie z żadnym związkiem niemieckim łączyć się nie myślą i do biura ludowego należyć nie chcą, dobrze rozumiejąc, że chodzi tu tylko o wciągnięcie ich w sieć, w której by się zaplątali. Trudno istotnie uwierzyć w szczerą życzliwość katolików niemieckich, którzy gotowi są dać Polakom sekretarza do załatwiania spraw świeckich, a nie zgadzają się na danie im księży, umiejących po polsku. W dwudziestu kilku parafiach, w których mieszka około 20.000 Polaków, nie było od 3, 4 a nawet od 6 miesięcy nabożeństwa polskiego, nie licząc parafii, gdzie Polaków jest mniej niż 200

== *Polska wszechnica ludowa w Ameryce północnej.*

Wspomnieliśmy niedawno (por. nr. 17 *Przepl.*) o działalności wędrowniej wszechnicy polskiej w Chicago, South Bend i Toledo. Z kolei przeniósł się »uniwersytet ludowy« do Pittsburga, a korespondent chicagoskiej *Zgody* podaje o nim 6 września następujące szczegóły:

W ubiegłym tygodniu profesor Siemiradzki wykladał w dzielnicy Pittsburga zwanej South Side. Dzięki uprzejmości szanownego proboszcza rusko-katolickiej parafii w Pittsburgu, wiel. ks. Stefanowicza, zarząd grupy Związku N. P. Białego Orła zorganizował wykłady w starym kościele unickim. Jestto obszerna drewniana świątynia, obok której wznosi się wspaniała murowana cerkiew. Między publicznością, uczęszczającą na wykłady, znaczny procent stanowią *Rusini*, — dodatnie wrażenie sprawia także poważny udział młodzieży. Na sześciu wykładach było razem osób 962 tj. przeciętnie po 160 osób na każdym.

Na pierwszym wykładzie prof. S. mówił o obecnym stanie kwestyi polskiej, przyczem zwrócił uwagę słuchaczów na znaczenie i zasługi dla sprawy narodowej Zw. N. P. Cztery następne wykłady poświęcił prelegent historii porzobiorowej Polski. Przedmiotem ostatniego wykładu były dzieje kościoła ruskiego w Polsce i stuletnie prześladowanie Unii przez rząd rosyjski. Mowca wskazał na fakt, że Rosya, odziedziczywszy w spadku po niepodległej Polsce normalne i prawidłowe stosunki kościelne, wniosła ucisk i prześladowanie i w ciągu niespełna stu lat oderwała częścią gwałtem, częścią podstępem kilkanaście milionów ludzi od kościoła katolickiego, — przejście więc części Polski pod panowanie rosyjskie było jednym z najcięższych ciosów, które kiedykolwiek bądź spadły na kościół. Ogromna większość tych przymusowych schizmatyków nie zerwała wewnętrznej łączności z katolicyzmem i tylko ciężkie kary, grożące

w Rosji za opuszczenie schizmy, wstrzymują tych ludzi od jawnego powrotu na łono prawdziwego kościoła. Tryumf polskiej sprawy będzie więc dniem wyzwolenia tych milionów ludzi z religijnej niowoli, dniem wielkiego tryumfu dla kościoła.

Publiczność, złożona w połowie z Rusinów, wsłuchiwała się pilnie w wywody mówcy. W środku prelekcji urządzono składkę na rzecz miejscowego rusko-katolickiego kościoła. Zebraną kwotę 8 dolarów i kilkanaście ct. grono obywateli Polaków wręczyło szanownemu proboszczowi wraz z gorącymi wyrazami szacunku i wdzięczności za popieranie oświaty narodowej. Z tego widać, że polska wszechnica ludowa zaczyna oddawać rzetelne usługi także narodowej sprawie Rusinów, narażonych, jak wiadomo, nawet w Ameryce na zakusy wytężonej propagandy prawosławia.

— *Dom polski w Chicago.* Na zeszłorocznym sejmie Związku narodowego polskiego uchwalono wybudowanie w Chicago gmachu, w którym mieściłyby się wszystkie ważniejsze instytucje narodowe. Z prawdziwie amerykańskim pospiechem wprowadzono w życie uchwałę i 13 lipca r. b. odbyło się poświęcenie uroczyste kamienia węgielnego budynku, który kosztować będzie najmniej 65.000 dolarów.

»Dom polski« ma być gmachem czteropiętrowym. Kamienną posadę zdobi herb Polski i podobizny Kościuszki i Pułaskiego. Na dole pomieszczoneą będzie drukarnia, pokoje dla służby i przyrządy do ogrzewania gmachu. Pierwsze piętro zajmą biura Związku, stowarzyszenia Sokołów i innych organizacji patriotycznych lub naukowych. Na drugim piętrze pomieszczoneą zostanie biblioteka, która już obecnie zawiera około 20 000 książek w językach polskim, angielskim, niemieckim, łacińskim i in. Trzecie piętro przeznaczono na Muzeum narodowe, które jest wspólną własnością organizacji polskich i posiada wiele cennych pamiątek i okazów.

Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego odbyła się z wielką okazałością. Domy na ulicach Noble i Division przystrojono w barwy narodowe. W pochodzie, na którego czele szły orkiestry, wzięło udział 40 towarzystw narodowych. Dokoła gmachu stały tłumy ludności polskiej.

Kiedy orkiestra odegrała »Boże coś Polskę«, zabrzmiały dokoła głośnie okrzyki. Pierwszy przemówił do zebranych prezes Związku p. Brodowski i wyjaśnił znaczenie domu narodowego dla wychodźstwa. Następnie ks. Sztuczko, proboszcz kościoła św. Trójcy dokonał aktu poświęcenia i w przemówieniu swoim zaznaczył, że »dom ten będzie dla związkowych tem, czem jest Warszawa dla całej Polski — ogniskiem ruchu, myśli i dążeń narodowych«. Czem jest w organizmie ludzkim serce, do którego krew przyływa — mówił ks. Sztuczko, — tem dla związkowych będzie ich dom, do którego we wszystkich sprawach narodowych zwracać się będą. Z domu tego soki ożywcze rozleją się po całej Polonii amerykańskiej i przy boskiej pomocy związek coraz lepiej będzie się rozwijał. Po ks. Sztuczce zabrał głos cenzor Związku i wyraził nadzieję, że wkrótce każdy prawy Polak należeć będzie do organizacji, której liczbą członków w ostatnich czasach tak szybko wzrasta pomimo intryg wrogów.

PRZEGLĄD PRASY.

— Niezrażeni zawodem, który im sprawił »nowy kurs« w Prusiech, ugodowcy nasi gorliwie szukają objawów jego w Rosji. Oto co pisze *Czas* w korespondencji z Kijowa:

»Utrzymuje się przekonanie, że cesarz Mikołaj jest zdecydowanym przeciwnikiem religijnych przesładowań i pod tym względem można oczekiwać bez wielkich złudzeń zwrotu

na lepsze. Charakterystycznym w tej mierze objawem było traktowanie w Kijowie tamtejszego katolickiego proboszcza, czcigodnego ks. Żmigrodzkiego. Ignatiew zamieścił ks. Żmigrodzkiego jedynie w ogólnych audyencyach, na wyraźne jednak życzenie cara zaproszono go na wszystkie dworskie obiady, przy czem Mikołaj II i carowa rozmawiali z nim kilkakrotnie w sposób nader przyjacielski. Ale najciekawszy przypadek wydarzył się na dworcu kolejowym przy odejściu carskiej pary. Ks. Żmigrodzki udał się tam wraz z wielu innymi osobistościami. Na jaki kwadrans przed odejściem pociągu dworskiego przystąpił do niego nadprokurator synodu, Pobiedonoscew i rozpoczął najniespodziewanie rozmowę mniej więcej tej treści: »Wielu ksiądz ma parafian? — Przeszło 30 tysięcy. — A wielu ludzi może pomieścić tutejszy kościół? — Najwyżej dwa do trzech tysięcy. — Czyż to może być? Gdzie mieści się reszta? — Ks. Żmigrodzki wzruszył lekko ramionami. — W takim razie — mówił Pobiedonoscew — trzeba koniecznie prosić cesarza o pozwolenie na budowę drugiego kościoła«. Następnie poszedł wraz z księdzem do ministra spraw wewnętrznych Goremykina i przedstawiwszy mu całą sprawę, zakończył słowami: »Spodziewam się, że Wasza Ekscelencya poprze prośbę księdza«. — Goremykin skłonił się w milczeniu z lekkiem ironicznym uśmiechem. Co za dziwny zwrot!

Gdyby nawet przytoczona wyżej rozmowa była prawdziwą, nie potrzeba dla jej wytłomaczenia przypuszczać »nowego kursu«. Ks. Żmigrodzki, znany osobicie Aleksandrowi III, jako proboszcz w Skierniewicach, czy gdzieś pod Spalą, cieszył się szczególnymi jego względami. To jedyny powód zaproszenia go do stołu carskiego i najprawdopodobniejszy powód uprzejmości Pobiedonoscewa.

— Ogłoszone w *Kuryerze lwowskim* i *Dzienniku krakowskim* urywki z listów prywatnych Z. Kaczkowskiego zawierają nieraz ciekawe i głębokie poglądy i oryginalne spostrzeżenia. Oto np. zdanie znakomitego pisarza o stańczykach i stronnictwie liberalnem, czyli, jak dziś się nazywa, demokratycznym.

»Piszesz mi, że Stańczycy wszystko opanowali w kraju; ależ to wcale inaczej nie mogło się stać, jak skoro nie masz przeciw nim żadnej siły oporu. Nawet i liberalne dzienniki nie umieją się przeciw nim bronić — a cóż dopiero ludzie?

»Na książkę Tarnowskiego („Z doświadczeń i rozmyślań“ *Prz. red.*) odpowiedziała *Reforma* długim szeregiem artykułów („Dwie opinie“ T. Romanowicza, *Prz. red.*) zresztą okrutnie nudnych, w których g. szarpie z lekka za pojedyncze zdania, ale nie umiała odkryć jego myśli przewodniej i nie potrafiła go za tę myśl w same piersi uderzyć. Stańczycy się śmieją z takich polemik — i słusznie, bo takie szarpaniny plątają im się tylko pomiędzy nogi, ale zachwiał ich nie potrafią. Jeżeli się kogo chce wziąć za łeb, to muszę przeciw stańczykom stanąć wyżej od niego — a wyżej stanąć mogą tylko moją myślą wyższą od jego myśli i moją inteligencją wyższą od jego inteligencji. Owóż w tych polemikach przeciwko książce Tarnowskiego nie masz ani wyższej myśli, ani wyższej inteligencji“.

Kaczkowski, który w *Tece Nieczui* umiał zadać stańczykom kilka ciosów »w same piersi«, równie surowo sądzi ludzi, należących do obozu liberalnego, jak politykę tego stronnictwa.

»Tak samo jak z temi polemikami, jest także z ludźmi. Jak skoro taki przewodnik liberalnego obozu jak Romanowicz, zamiast pójść do Reichstagu, gdzieby był mógł działać swobodnie i samostannie, włączył do Wydziału, gdzie jest jak pies na kręgielni i musi koniecznie ulegać stańczykowskiej większości — jak skoro taki drugi przewodnik, jak Szczepanowski, powiedział w jednej swej mowie, że Galicya nie jest »mechanicznie«, tylko »organicznie« spojona z Austryją, a w drugiej, że Galicya nie może się kusić o otrzymanie zupełnej autonomii, bo jest zanadto uboga i nie miałaby jej czem opłacić: to cóż są za ludzie? Oto także stańczycy, tylko z tą, zresztą niewielką, różnicą, że podczas kiedy tamci mają stanowczo konserwatywne tendencje, ci mają w niektórych kwestiach liberalne zachcianki“.

Zaznaczymy trafnie, że różnice między dwoma stronnictwami są tylko pozorne, co dziś zresztą coraz lepiej staje się widocznem, Kaczkowski pyta: na czem polega stańczykostwo? i tak odpowiada:

„Oto na wyrzeczeniu się Polski i pokornym przyjęciu obecnych politycznych stosunków. Owoż jeżeli przywódcy liberalnego obozu przyznają sami, że Galicya jest już „organicznie” spojona z Austryą, i że na drodze do dalszego rozwoju samostoiwości ani jednego kroku naprzód zrobić nie może, bo nie miałyby go czem opłacić, to ci liberalni stoją obydwiema nogami na gruncie stańczykowskim, a takim piaskiem w oczy, że od czasu do czasu wywołują patryotyczną manifestację, nikt rozumny nie da się zbałamucić, bo to jest dym, po którym nie zostaje”.

Ruch, jaki w życiu politycznym Galicyi wytworzyły prądy ludowe, dziś już rozwiewa ten dym i nawet ci, którym dotychczas zasłaniał on oczy, spostrzegają, że liberalni stańczycy nie są wcale lepsi od stańczyków zachowawczych.

— Reskrypt starosty krakowskiego do posła Wójcika, pomieszczony przez niektóre pisma w dziale humorystycznym, jednemu tylko *Przeglądowi* lwowskiemu się podobał, bo nawet *Czas* milczy dyskretnie w tej sprawie. Organ Laenderbanku maluje stan rzeczy w Galicyi bardzo jaskrawymi barwami:

„Propagandę waśni społecznej, wywrotu, socjalizmu, zabarwionego niekiedy wprost nihilizmem, zaczęli szerzyć w ostatnich czasach tak zwani „ludowcy” na swych sejmikach relacyjnych. Oczywiście, zdawanie sprawy z czynności poselskich przed wyborcami było tylko piaszczykiem. Zwoływano na te sejmiki wszystkich bez wyboru — wyborców i niewyborców, tych ostatnich przedewszystkiem, prawiono przed nimi nie o czynnościach poselskich, nie o pracach sejmowych, ale o ideałach anarzystycznych, wymyślano na istniejącą ustrój społeczny i polityczny, podkopywano powagę kościoła, szkolowano wyższe warstwy, ubliżająco gadano o urzędnikach. Słowem, była to robota nawskróś anarzystyczna, a najgorliwszym w niej się okazał p. Franciszek Wójcik. Nareszcie powstrzymano go na tej niegdyż drodze”.

Ciekawa rzecz, dla kogo się takie rzeczy pisze, bo nawet najnaiwniejsi z czytelników *Przeglądu*, którzy wogóle naiwnymi nie są, w takie strachy nie wierzą.

— Korespondent lwowski *Dziennika poznańskiego*, opisawszy powitanie cesarza Franciszka Józefa na dworcu w Krakowie, dodaje:

„Ogólną zwrócić uwagę, iż cesarz na dworcu krakowskim z prezesem sądu i radcą dworu Brasonem wyrzekł w rozmowie te słowa: „Pod pańskim przewodnictwem wydał sąd krajowy w kilku znanych mi wypadkach surowe, ale sprawiedliwe wyroki; jestem panu za to bardzo wdzięczny”. Niema wątpliwości, że monarcha miał tu przedewszystkiem na myśli zasądzenie na 10-letnie ciężkie więzienie osławionego denuncyanta i szpiega rosyjskiego Hendigery. P. Brason, który przewodniczył rozprawie sądowej, zaznaczył w uмотywowaniu wyroku, iż sąd ubolewa, że kodeks karny nie dopuszcza za zbrodnie, jakich się dopuścił Hendigery, znacznie wyższego wymiaru kary”.

— Kilka pism niemieckich zaznaczyło, a za niemi niektóre polskie powtórzyły wiadomość, że podczas przyjęcia dworskiego w Zgorzelicach Wilhelm II nie rozmawiał wcale z p. Kościelskim. *Kuryer poznański* i *Czas* zamieściły zaprzeczenie, zredagowane zupełnie w stylu komunikatu półurzędowego. Ciekawy ten i zarazem śmieszny dokument niżej przytaczamy.

„Wiadomość, jakoby cesarz Wilhelm z p. Kościelskim w Zgorzelicach nie rozmawiał, jest *tendencyjnym kłamstwem*. Ci, którzy byli obecni a podobne wieści rozsiewają, popełniają świadomie kłamstwo. Cesarz z p. K. nie tylko dłuższy czas *taskawie rozmawiał* — ale go nawet przez adjutanta *zakaść kazał*, aby z nim mówił. Pan K. widząc, jak wielka jest liczba osób, oczekujących przedstawienia, *trzymał się na uboczku*, nie zbliżając się do grupy utworzonej przez tych z zaproszonych którzy rzadko, a może dotąd wcale nie mieli sposobności rozmawiania z cesarzem. Ponieważ nie tak dawno, bo dopiero w czerwcu r. b. p. Kościelski miał wielki zaszczyt być *kilkakrotnie* gościem cesarza na pokładzie statków „*Meteor*” i „*Hohenzollern*”, trzymał się zdaleka w Zgorzelicach, aby nie zabierać miejsca tym, którzy dotąd nie mieli sposobności zbliżenia się do cesarza. Tym *wdzięczniejszym był cesarzowi*, że tenże kazał go adjutantowi w tłumie odszukać i łaskawą rozmową zaszczycić”.

Doprawdy podziwiać trzeba skromność p. Kościelskiego, cnotę, której ludzie znakomici zwykle nie mają.

— Dzienniki niemieckie w rozmaity sposób wyzyskują zajście w Opalenicy. *Kölnische Zeitung* poświęciła duży artykuł propagandzie polskiej i środkiem przeciwdziałania jej. Zdaniem autora, powtarzającego stare argumenty, chłopot nie jest niebezpiecznym dla niemieczyzny i nie dba o odbudowanie Polski. Żywiołami nieprzejednanymi są szlachta, duchowieństwo katolickie, a zwłaszcza inteligencja. Z tymi żywiołami należy walczyć i dążyć, za pomocą środków państwowych, do ich zagłady.

Dzisiaj — zdaniem *Köln. Zeit.* — jedynym środkiem skutecznym jest ustawa kolonizacyjna. Należy więc działalność komisji wzmocnić, wykluczyć z kolonizacyi katolików i zmienić ustawę o włościach rentowych, która ułatwia Polakom nabywanie ziemi.

Zadanie rządu *Köln. Zeit.* tak streszcza:

„Południową część poznańskiej prowincyi należy przyłączyć do Śląska, zachodnią do Brandenburgii, a wschodnią i północną do Prus Zachodnich. Przez to najprędzej położy się koniec agitacyi polskiej. Oprócz tego zaleca się założenie niemieckiego uniwersytetu w samym sercu polskości. W miejscach księży polskich należy co prędzej przy każdej okazji ustanawiać niemiecko-katolickich księży. W końcu szkoła ludowa winna być całkiem niezależną od duchowieństwa”.

Rozwijając powyższe wskazania, gazeta żąda, żeby arcybiskupem mianowano Niemca, a władzy miejscowej dano prawo *veto* przy mianowaniu księży na probostwa. Nauka religii katolickiej musi być powierzona wyłącznie Niemcom. Niemcami powinni być wszyscy nauczyciele i koniecznie... żonatymi, żeby Polki nie miały na nich wpływu. Nauczycieli Polaków przenieść należy do Niemiec, jak również prawników, a lekarzom nie trzeba dawać posad rządowych.

Volks Zeitung sądzi, że artykuł ten wyszedł z kół urzędowych, *Germania* przeczy temu, bo projekt wydaje się jej niedorzecznym. Nie jest to jednak argumentem przekonującym, bo właściwie już Bismark zalecał i próbował wprowadzić w wykonanie wymienione wyżej środki, a nawet myślał o zniesieniu prowincyi poznańskiej.

Ten ostatni projekt nie podoba się nawet patryotom niemieckim. *Berliner Tageblatt* pisze:

Zniesienie prowincyi poznańskiej byłoby i zasadniczo i w zaprojektowanej przez *Köln. Ztg.* formie zupełnie niewłaściwym. Przy różnolitem układaniu się życia publicznego, przy rozwoju, jaki na władze coraz większe obowiązki nakłada, nie można zalecać rozszerzania obwodów administracyjnych. Przyłączenie jednej części prowincyi poznańskiej do Prus Zachodnich bynajmniej nie usunęłoby polskiej agitacyi, tylko by ją chyba zwiększyło”.

— *Posener Tageblatt* z powodu zajścia w Opalenicy, o którym w innym miejscu piszemy, zamieszcza artykuł, zawierający wiadomość, zakomunikowaną jakoby ze strony urzędowej.

„Rezultatu śledztwa, które teraz do sądów należy, trzeba odczekać; jeżeli jednak gazety spodziewają się, że teraz wydane zostaną surowe rozporządzenia, ażeby przeszkodzić powtórzeniu się takich zajść, jak w Opalenicy, to należy zwrócić uwagę na to, że z powodu zajścia w Opalenicy tutejsza najwyższa władza administracyjna wydała już takie rozporządzenie, które jak wszelką narodowo-polską demonstracją surowo karać będzie, tak ludności katolickiej zachowa jej prawa, ażeby uczuciom religijnym i uszanowaniu dla swego zwierzchnika kościelnego wyraz dawać mogła.

„Wystąpienie władzy administracyjnej — jak spodziewać się należy — położy tamę nieładowi czerwono-białych demonstracyi i ich mieszanii z przyjmowaniem dostojników kościelnych. Jak Niemcy bez wszelkich zastrzeżeń są pewni takich rozporządzeń naczelnego prezesa, tak z drugiej strony wszyscy rozsądni Polacy ze względu na eksces opalenicki, ze względu na demonstracyjne przyjmowanie i żegnanie ks. arcy-

biskupa, ze względu na charakter Sokołów, oraz narodowe majówki szkolne i t. p. będą sobie musieli powiedzieć: nostra culpa, nostra maxima culpa — nasza wina, nasza największa wina. Czy rozporządzenie naczelnego prezesa w szczegółach zostanie ogłoszone, zależy od regencyi“.

Z powodu tego artykułu *Orędownik* zaznacza, że urzędowe wiadomości *Tageblattu* są zwykle, przynajmniej w głównych punktach wiarogodne, i tak dalej pisze:

„Przyjmując powyższą wiadomość za prawdziwą, musimy wyrazić nasze wielkie zdziwienie, jak z powodu tego, że tłumy ludu polskiego wyszły o godzinie 10 w nocy na dworzec w Opalenicy, celem oddania hołdu przejeżdżającemu ks. Arcybiskupowi, że przed dworcem ks. Arcybiskup przemówił do ludu, że następnie najechał na lud urzędnik i przyszło skutkiem tego do smutnego zajścia; — jak z powodu tego wszystkiego, powtarzamy, Polacy mają być ograniczeni w swych prawach przyrodzonych, do czego należy także manifestowanie polskiego życia narodowego, oczywiście w ramach konstytucyi pruskiej.

„Podług *Tageblattu* rozporządzenie naczelnego prezesa różniła w ludności polskiej charakter polski i katolicki, interesa polskie i katolickie. Zdawałoby się, że przy tem różnieniu zajście w Opalenicy da powód do pewnych policyjnych przepisów, tyczących się publicznego przyjmowania ks. Arcybiskupa“.

„Tymczasem *Tageblatt* podaje nam rozporządzenie, działające w odwrotnym kierunku i zapowiadające: że za to, co się stać może przy manifestacji uczuć katolickich, lud polski ma odpowiadać kosztem swych praw narodowych. przyrodzonych i konstytucyjnych.

W dodatku *Tageblatt* powiada, iż władza będzie czuwać nad tem, żeby ludność miała »prawo« manifestowania swych uczuć religijnych i czci dla zwierzchnika poznańskiego.

„Przecież — kończy *Orędownik* — jesteśmy nie tylko katolicy, ale i Polacy, i potrzeb narodowych nie możemy stopić jedynie w potrzebach religijnych, a to — zapowiada »urzędowa« wiadomość „*Tageblattu*“.

Uwagi słuszne, niesłuszny tylko wniosek ostatni, że »wszystko to za to, co na lud polski spadło owej nieszczęśliwej nocy w Opalenicy«. Wszystko to spada oddawna na lud polski stopniowo i systematycznie i niezależnie od wszelkich zajść i awantur.

Z OBCEGO ŚWIATA.

— *Międzyparlamentarna konferencja pokojowa w Budapeszcie.* Bezpośrednio po kongresie Ligi pokoju zaczęły się w Budapeszcie obrady konferencji, zwanej międzyparlamentarną, ponieważ składa się tylko z członków parlamentów europejskich. Już na poprzednim zebraniu konferencji wyrażano ubolewanie, że niektóre narody potężne, jak np. Rosya nie mają w obradach głosu. Ale trudno było na to poradzić, bo zgodnie z brzmieniem i duchem ustawy, konferencja może przyjmować tylko uprawnionych przedstawicieli ludów. Tymczasem na pierwszym zaraz posiedzeniu w Budapeszcie, Węgier hr. Apponyi postawił wniosek, żeby dopuszczono przedstawicieli Rosyi i innych państw, niemających urzędzeń konstytucyjnych (Turcyja, Czarnogóra), mianowicie osoby, opatrzone upoważnieniami swych rządów, oraz członków rosyjskiej rady państwa i instytucji analogicznych w innych krajach. Naprózno członek parlamentu niemieckiego Conrad wykazywał, że tego rodzaju postanowienie przeczy celom i zadaniom konferencji, która chce właśnie wojowniczym i zaborczym dążeniom rządów przeciwstawić pokojowe dążenia ludów. Węgrzy, którzy byli w większości, oświadczyli się za wnioskiem i przeforsowali uchwałę, równającą przedstawicieli ludu z agentami rządowymi. Wielu członków konferencji, których nie było na tem posiedzeniu, potępiają uchwałę i postępek Węgrów, ale tego, co się stało, cofnąć już nie można.

Na następnem posiedzeniu obradowano nad wnioskiem grupy niemieckiej, dotyczącym zasad ogólnych, obowiązujących dla wszystkich państw, w sprawie wydalania cudzoziemców. Ułożenie projektu, na który mogłyby się zgodzić mocarstwa, przedstawiało wielkie trudności praktyczne. Jakkolwiek zawiera on postanowienia, które dwuznacznie mogą być tłumaczone, jest wszakże ważnym krokiem naprzód w tej sprawie i zapobiega wielu dziś praktykowanym bezprawiom i nadużyciom. Za projektem przemawiał poseł Lewakowski. Wykazał on, że nawet takie państwa, jak Austryja, nieraz nie są w stanie bronić skutecznie swoich poddanych i zaznaczył wielką doniosłość przyjęcia jednakożych zasad w tej sprawie dla narodu polskiego, którego terytorium należy do trzech państw. Dalej poseł Lewakowski przytoczył fakt, iż na kongresie wiedeńskim z r. 1815, nawet same mocarstwa zaborcze zobowiązały się tak co do wolnej komunikacji osób pomiędzy trzema zaborami, jak też co do pewnych potrzeb handlowych dla Polaków wyjątkowe wprowadzić ulgi — podczas gdy później, właśnie do Polaków dwa mocarstwa, Rosya i Prusy wyjątkowo wprowadziły w tych wszystkich sprawach obostrzenia. Obszernie opowiedział mówca o edyktach bismarkowskich i późniejszych rozporządzeniach rządu rosyjskiego względem cudzoziemców. Rząd austriacki w tym wypadku nie chciał, czy też nie mógł nie uczynić dla swych poddanych, koniecznym więc jest jakieś prawo międzynarodowe, któreby położyło kres takiemu barbarzyństwu.

Projekt, którego referentem był dr. Bär, poseł do parlamentu niemieckiego, przyjęto. Z Polaków brali udział w konferencji Lewakowski i Edward Gniewosz, posłowie do austriackiej Rady państwa i major Szmula, poseł śląski do parlamentu niemieckiego.

— *Francya przed przyjazdem cara.* Przygotowania do przyjęcia Mikołaja II w Paryżu tak zajmują dziś Francję, że wszystkie inne sprawy zeszyły z porządku dziennego. Rząd i naród pomagają sobie nawzajem, żeby się przed sprzymierzeńcem jak najniżej ugiąć, a ludność kraju miłującego częste zmiany rządów, po dwudziestopięcioletnim okresie republikańskim cieszy się, że może bić nareszcie czołem przed monarchą, prawie swoim. Ujawnia się przytem na każdym kroku kłopot »demokratów«, obawiających się jakiejś niewłaściwości, jakiegoś dowodu braku wiadomości w dziedzinie etykiety dworskiej. Prezydent Rzeczypospolitej przy tej sposobności o mało nie dostał specjalnego munduru, ażeby we fraku nie wyglądał zbyt blade wobec cara.

Mikołaj II położy kamień węgielny pod nowy most na Sekwanie, budowany dla przyszłej wystawy i otrzymujący miano »mostu Aleksandra III«. Wykłady w szkołach, zamiast 1-go, rozpoczną się 9-go października, ażeby młodzież miała możność brać udział w uroczystościach. Deputowany departamentu Sekwany, p. Leveille proponował nawet, żeby każde dziecko opracowało przez ten czas w domu jaki epizod z panowania Piotra I lub Katarzyny II. Znani ze swej pomysłowości, w dziedzinach poważnych i w głupstwach, Francuzi wysilają się na najnieodporniejsze projekty, którymi zasypują rząd i współobywateli.

Departament Gers postanowił uczcić cara, ofiarując mu próbki najlepszych... wódek. Naturalnie, każda butelka będzie ozdobiona napisem, wymieniającym miejsce pochodzenia, nazwisko właściciela, zalety produktu i t. d. (zapominają kochani przyjaciele Rosyi, że Moskale piją wódki dużo, ale słabej, i że wyborowe produkty francuskie są dla nich zamocene). Niepodobna zresztą wyliczyć wszystkich tych błazeństw.

Już teraz w samej Francji zaczynają ludzie kpić z samych siebie oraz ze swych głupstw, lub wskazywać

rodakom, że idą zadaleko, a właściwie schodzą zanisko. Dzienniki paryskie wytykają rozmaite niewłaściwości, humorystyczne zaś pisma drwią z błazeństw i niekonsekwencji. W każdym razie przyjęcie będzie bardzo zajmujące, a więcej może jeszcze reakcyą, jaka nastąpi po tem zbytniem wyekspensowaniu »uczuc«.

KRONIKA.

— Ponieważ pomnik Kilińskiego w parku stryjskim nie był ani poświęcony, ani odsłonięty uroczysto, postanowiła młodzież rzemieślnicza z częścią młodzieży akademickiej odprawić solenne nabożeństwo i złożyć wieńce od rozmaitych stowarzyszeń. W uroczystości wzięła udział szczerpła liczba osób, z powodu deszczu i rozporządzenia policji, zakazującego pochodu przez miasto i wygłaszania mów.

— Uroczystości trzechsetnego jubileuszu Unii zaczęły się 27 września i trwać będą dwa tygodnie. Nadano im wyłącznie kościelny charakter.

— Wiele hałasu wywołała podana przez *Times* rozmowa dwóch cesarzów we Wrocławiu. Dziennik angielski twierdzi, że Wilhelm II powiedział do Mikołaja II: „Francuzi nie chcą wojny. Wiem, że ty nie dasz Francji możliwości dokonania odwetu — a ja im powodu do tego nie dam. Alians wasz tym więcej mi dogodny, że przyczyni się do zgniecenia rewolucyjnych dążeń. Rosya ma nihilizm do zwalczania, a Niemcy naukowy socjalizm, który stara się o zniszczenie istniejącego porządku pod maską hypokrytycznych naukowych formułek. My powinniśmy być stróżami porządku i pokoju. Złączmy swe siły przeciw nieprzyjaciółom Boga i królów. Wdzięczność świata całego i — historii będą dla nas nagrodą“.

— Pisma polskie w Prusiech Zachodnich w odezwach do czytelników twierdzą, że mają wszystkie razem 12.000 prenumeratorów, kiedy niemieckie pisma miejscowe około 100.000, chociaż Polaków w prowincyi tej prawie tyle, co Niemców.

— Towarzystwo śpiewackie „Lutnia“ w Bogucicach (Górny Śląsk) uznano za towarzystwo polityczne, bo: 1) na posiedzeniach jego bywał p. Koraszewski, redaktor *Gazety Opolskiej*, wrogię niemieczyźnie, 2) kiedy stolarz zamieścił na szafie do książek napis „Lutnia, Bogutschütz“, zarząd zmusił go do napisania po polsku — Bogucice. Powody przytoczone podają pisma niemieckie.

— Gdy car przybył do Leith, publiczność angielska przyjęła go dosyć chłodno i dopiero carową powitano oryginalnym okrzykiem: „specyalne niech żyje — dla wnuczki naszej królowej“.

— Z Brodnicy (Prusy Zachodnie) wydalono za granicę Prus niejakiego Malinowskiego, który osiadł tam przed dwunastu laty, wróciwszy z Ameryki, kupił sobie dom i 7 morgów gruntu. Dano mu dwa dni na uregulowanie interesów. Malinowski ma żonę i sześcioro dzieci.

— Inspektor szkolny z Bydgoszczy, Grabow, protestant, przybywszy do szkoły w Mękowarsku, zaczął dzieciom objaśniać ustępy z katechizmu katolickiego. Kiedy nauczyciel głośno zauważył, że inspektor fałszywie zasady religii katolickiej tłumaczy, rozgniewany Grabow rzucił książkę na ziemię i zawołał *dummes Zeug!* Nauczyciel oburzony wyszedł ze szkoły i zostawił inspektora samego z uczniami.

— *Daily Telegraph* w korespondencji z Petersburga wyjaśnia niedawne zmiany w ministerjum marynarki rosyjskiej. W. ks. Aleksander Michajłowicz, szwagier cara, przypatrując się nowym okrętom wojennym, zauważył, że są one uzbrojone starzyzną, wziętą z okrętów wybrakowanych. Mikołaj II, dowiedziawszy się o tem, rozkazał admirałom Czychaczewowi i Kremerowi podać się do dymisji. Wówczas stryj cara, W. ks. Aleksy, wielki admirał, który miał udział w tych nadużyciach, oświadczył, że podaje się do dymisji, jeżeli W. ks. Aleksander Michajłowicz pozostanie we flocie. Ten ostatni podał się do dymisji i, jak wiadomo, wyjechał do Krymu.

— Mniemany spiszek na cara okazał się spiszkim fe-nianów irlandzkich, urządzonym, zdaje się, przez agentów policji angielskiej.

— Przeciwno wyborom do sejmu pruskiego w okręgu starogardzko-tezewsko-kościerskim, gdzie zwyciężył ks. Wolszlegier, założyli Niemcy protest, twierdząc, że należało wybory 10 „wahlmanów“ unieważnić. Wiadomo, że Polacy żądali właśnie imiennego głosowania nad każdym wyborem, Niemcy zaś nie zgadzali się wtedy na to, i na ich żądanie a na wniosek landrata postanowiono wszystkie prawybory zakwestyjonowane uznać za ważne.

— Podczas manewrów w Galicyi aresztowany został w przebraniu chłopskiem wyższy oficer rosyjski A. Kurtanow. Ponieważ nie podejrzanego przy nim nie znaleziono, odstawiono go do granicy.

— Organ hakatystów *Ostmark* wylicza, ilu członków ma towarzystwo popierania niemieczyzny po za granicami ziem polskich. Najsilniejszą grupą bractwa tego w Niemczech jest berlińska, licząca 1087 członków, dalej następuje: hamburska 203 członków, dortmundzka 153, wrocławska 150, pozdamska 121, mienieńska 118, w Frankfurcie nad Menem 110, w Getyndze 105, lipska 103, marburska 103, w Frankfurcie nad Odą 102. Czternaście innych, w Tybindze, Erfurcie, Kaselu, Hanowerze, Fürstenwaldzie, Darmsztacie, Giessen, Gryfi, Altonie, Halli, Heidelbergu, Delitsch, Miśni i Stassfurcie liczą od 50 do 190 członków. W całych Niemczech mają więc hakatyci liczynech zwolenników.

— W kilku miastach w Poznańskim — pisze *Gazeta gdańska* — nakazała policja kupeom, żeby napisy nad szufladami w sklepach były w języku niemieckim. Tego nawet rosyjska policja nie wymaga.

— *Gazecie robotniczej*, wychodzącej w Berlinie, na wniosek prokuratora z Gliwie na Śląsku, wytoczono proces za podżeganie nienawiści klasowej.

— W Kanadzie, w prowincyi Ontario zaprowadzono w kolegium katolickim św. Hieronima w Nowym Berlinie wykład języka polskiego, historia i literatury polskiej.

— *Goniec Wielkopolski* podaje, że niejaka pani Bilażewska, b. właścicielka Mielżyna zażądała od sądu, żeby usunął dotychczasowego opiekuna jej dzieci, p. Sieńskiego, bo ten nie pozwolił sprzedać majątku komisji kolonizacyjnej, a więc dowiódł, „że ceni wyżej honor narodowy, niż interesy powierzonych jego opiece“.

— W Sauk Rapids, w Minnesocie istnieje od lat 20 „z bó r Polaków ewangelików“, pochodzących z Mazowsza pruskiego. Obecnie zbór liczy w mieście około 50 rodzin i łącznie z drugim zborom, do którego należy również kilkadziesiąt rodzin, ma pastora ks. Stroelkego, który odprawia nabożeństwo po polsku.

— Śledztwo urzędowe wykryło, że odezwę, wzywającą do podpalania zagród niemieckich napisała szesnastoletnia dziewczyna, Niemka i protestantka, córka jednego z pogorzalców.

— Wiadomość, podana przez *Kraj*, o pobytku ks. Stojakowskiego w Kijowie jest fałszywą.

— Organ amerykańskiego Związku Sokołów polskich *Sokol* zaczął wychodzić pod redakcyą p. S. Barszczewskiego. — W Detroit Mich. powstał nowy tygodnik p. t. *Swoboda*. Redaktorem jest dr. Hłowiecki. — W Buffalo N. Y. pojawił się organ polsko-amerykańskich robotników p. t. *Sita*.

OD ADMINISTRACYI.

Szanownych prenumeratorów naszych, którzy dotychczas nie wnieśli przedpłaty za drugie półrocze, upraszamy o jak najspieszniejsze przesłanie należności

TREŚĆ: Szlachta i polityka narodowa. — Lud wiejski w królestwie kongresowem wobec rządu i jego usiłowań. IV., nap. S. K. — Z całej Polski, nap. J. L. Jastrzębiec. — Z zaboru rosyjskiego (Warszawa Łomża.) — Z zaboru pruskiego (Poznań). — Z Galicyi (Lwów). — Z kresów (Cieszyn). — Z wychodźstwa i kolonii. — Przegląd prasy. — Z obcego świata. — Kronika bieżąca.

